№ 15. Warszawa, dnia 2 (14) Kwietnia 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Kwestye i Sprawy.

II.

Stosunek korzyści duchowych do cielesnych. — Długowieczność i śmiertelność.

Ponieważ, jak to wykazaliśmy w poprzednim artykule, życie ludzkie jest sumą działalności cielesnej i duchowej, przeto podtrzymujące je sprężyny są także fizyczne i duchowe, a zatem i środki, którymi zabezpiecza się należyte funkcyonowanie tych sprężyn, będą dwojakiej natury: jedne fizyczne, drugie duchowe. Oddawna to już mówią, że człowiek jest złożony z ducha i ciała, ale jakim sposobem te dwa tak odmienne pierwiastki są ze sobą połączone, jakiego rodzaju jest ten związek i gdzie są jego ogniwa—tej kwestyi wiedza ludzka dotychczas zadawalniająco rozstrzygnąć nie zdołała, wpadając tylko od czasu do czasu w dwie krańcowe ostateczności—mglisty i mistyczny spirytualizm albo gruby materyalizm. Bądź co bądź, niemasz najmniejszej wątpliwości—widzimy to z doświadczeń codziennych — że objawy cielesne wpływają na ducha i odwrotnie, objawy czysto duchowe wywierają wpływ na ciało. Gorączka i każda w ogóle choroba wpływa na prawidłowość myślenia; nawet stan powietrza działa na humor i usposobienie człowieka; napoje: jak wino, wódka, kawa, narkotyki jak opium, tytoń i t. p. których widoczne działanie możemy wykazać tylko na ciało, działają wszelako i na stan duchowy — wszystko to są najzwyczajniejsze objawy wpływu ciała na ducha. Z tych i podobnych faktów jednostronni materyaliści wnieśli, że ducha niema, czyli że jest on wytworem ciała, zapominając że *wpływ* A na B nie dowodzi że B nie istnieje — o logice w ogóle niepodobna z tymi filozofami mówić — tembardziej że są fakta przeciwne, dowodzące że i B wpływa na A — duch na ciało—a więc, skoro wpływa, musi więc istnieć jakieś B od A odrębne. Uczucie wstydu wywołuje mimowolny rumieniec, boleść ściska serce, sprowadza bladość i łzy, uczucie strachu powoduje drżenie i niektóre inne przykre przypadłości; częstokroć sama myśl przelotna wywołuje widoczne i dotykalne objawy cielesne; smutek i tęsknota odbierają apetyt, pozbawiają władzy w nogach, sprowadzają różne choroby, a często nawet i śmierć. Silne uczucie i siła wyobraźni wywierają wielki wpływ na przebieg choroby, mogą spowodować uleczenie albo śmierć, jak to zauważył już słynny filozof Kant, który wydał osobne dziełko w tym przedmiocie i jak to jednozgodnie przyjmują najznakomitsi lekarze spółcześni.

Wobec tych niewątpliwych faktów wzajemnego na siebie oddziaływania ducha i ciała oraz ich, choć tajemniczego i niewytłomaczonego, związku, dawne zdanie ciemnych marzycieli i ascetów o krańcowem przeciwieństwie ducha i ciała dziś musi być uznane za zupełnie błędne i szkodliwe. Tem samem upada zgubna nauka ascetyzmu, według której *to co szkodzi ciału, pomaga duchowi*, a więc należy dręczyć ciało biczowaniem do krwi, włosienicami i t. d. i odwrotnie, *to co pomaga ciału, szkodzi duchowi*, a więc należy tłumić przyrodzone potrzeby i wymagania ciała, odmawiać mu ruchu i pokarmu, dręczyć się głodem i t. p. Obydwie te zasady są błędne, a przynajmniej jeżeli wypadkowo, w pojedynczych razach i podrzędniejszych zdarzeniach, czasami istotnie zdarza się coś podobnego, to jednak najważniejsze potrzeby i interesa zadają kłam tym zasadom, jako wrzekomo powszechnym, a uświęcenie ich, jako ogólnych, doprowadziło nieraz ludzi jak wszystkie ostateczności, do opłakanych i zgubnych następstw, tak względem nich samych, jak dla potomności i całej ludzkości. Atoli, z drugiej strony, nie jest bezwzględną prawdą, ażeby *to wszystko, co pomaga ciału*, co jest dobrem dla ciała, *pomagało także duchowi*, było dobrem dla ducha, ażeby to, co tuczy ciało, zarówno podnosiło i ducha. Ten drugi pogląd krańcowy, wręcz przeciwny powyższemu ascetyczne-mu, znajduje jeszcze obrońców, oczywiście pomiędzy materyalistami. Ma to być niby logicznem następstwem całej ich teoryi, według której duch, czyli raczej strona duchowa jest tylko wynikiem i produktem ciała, ale rozpatrzywszy się bliżej w tym wniosku, dostrzeżemy, że wobec logiki i faktów, jest on właśnie jeszcze jednym argumentem przeciwko całej teoryi materyalizmu. Wypadłoby bowiem z tej zasady, że im człowiek roślejszy, lepiej zbudowany i zdrowszy, tem jest mędrszy i duchowo bardziej rozwinięty: waga ciała, szerokość klatki piersiowej, ilość tłuszczu i t. p. cielesne oznaki byłyby miarą duchowego rozwoju, który w takim razie możnaby ważyć na funty! To też sami materyaliści, którzy nawet nie zdołali dowieść znaczenia ilości i wagi mozgu dla inteligencyi, wytknąwszy sami drogę do powyższego logicznego wniosku, następnie, swoim zwyczajem, wymijają go i wykręcają się od niego: trudno to bowiem utrzymywać wyraźnie taką niedorzeczność. Co więcej, według tej zasady, zdrowy, tłusty i rosły chłop już przez to samo, bez żadnego wychowania i bez żadnej nauki powinienby być mędrszym i doskonalszym duchowo od Platonów, Sokratesów, Newtonów, Koperników, Humboldtów i Śniadeckich, gdyż duchowa jego wartość i inteligencya powinny być prostym wynikiem zdrowia i mocy ciała. Również fałszywą i do niedorzecznych wniosków doprowadzającą byłaby odwrócona zasada: *co szkodzi ciału, szkodzi także duchowi*, czyli że ludzie chorzy i słabi fizycznie nie mogą być potężni duchowo. Chociaż bowiem, jak wspomnieliśmy powyżej, choroby wpływają na działalność duchową, ale nawet lekarze zgadzają się, że ten wpływ niezawsze bywa ujemny i szkodliwy, ale owszem czasami ożywczy i płodny. Jak zdrowie cielesne ducha nie zaostrzy, tak choroba i niedołęztwo fizyczne niekoniecznie go stłumią, a że tak jest, mamy dowody najbardziej pozytywne, bo z codziennego doświadczenia i faktów

historycznych zaczerpnięte. Wiadomo oto, że z wiekiem ciało słabnie i dąży do rozkładu, a jednak powszechny głos wszystkich wieków i narodów uważa starców za najmędrszych: wszystkie senaty składały się z ludzi wiekowych (zkąd i sama nazwa *senat*, oznaczająca podobnie jak *gerusia* u Spartan, *zebranie starców*), a nasz Paprocki wyraźnie żąda, ażeby mężowie rady mieli 70 lat skończonych. Wiadomo także iż pomiędzy największymi geniuszami ludzkości mało było ludzi, cieszących się dobrem zdrowiem: niektórzy jak Pascal, Spinoza i Zygmunt Krasiński całe prawie krótkie swe życie spędzili na łożu boleści, trawieni śmiertelną chorobą. Wszelako nie należy spieszyć się z wyprowadzaniem ogólnej zasady z tych faktów, bo doszlibyśmy właśnie do wytkniętych powyżej zdań ascetycznych: *można* być chorym i słabym fizycznie, a potężnym duchowo, ale ztąd nie wynika, że *potrzeba* osłabiać ciało, ażeby podnieść ducha. Tu dopiero właśnie wykrywa się nam istota błędu ascetów: do potępionych powyżej ich zasad nie doprowadza nas, jak widzimy, ani zdrowa logika, ani też nie doprowadza indukcya, gdyż bądź co bądź, jest prawdopodobniejszem, że pomiędzy ludźmi z potężną inteligencyą niewięcej jest chorowitych jak, stosunkowo zdrowych, o tyle przynajmniej, o ile i pospolici ludzie mogą być zdrowymi nazwani.

Zwolennicy bezwzględnej zależności duchowej potęgi od zdrowia ciała powołują się często na zasadę, wypowiedzianą przez poetę łacińskiego w słowach *mens sana in corpore sano*, co znaczy „zdrowy umysł w zdrowem ciele,“ ale pojmują tę zasadę błędnie: w tych bowiem słowach zawiera się określenie *ideału*, do którego człowiek powinien dążyć — pożądanej harmonii zdrowego umysłu ze zdrowem ciałem, nie jest zaś tu ani zdrowy umysł warunkiem zdrowego ciała, ani odwrotnie. U nas to właśnie często dają się słyszeć te słowa, brane w tem znaczeniu, że zdrowy umysł *bywa* zwykle albo zawsze w zdrowem ciele, albo że umysł bywa zdrowym gdy ciało jest zdrowe, czego poeta wypowiedzieć nie mógł, gdyż w takim razie ta jego maksyma utraciłaby sławę trafności.

Są następnie jeszcze i tacy, którzy ową pierwszą parę błędnych twierdzeń ascetycznych przewracają tym sposobem: *co pomaga duchowi, szkodzi ciału*, i *co szkodzi duchowi, pomaga ciału*. I te zasady nie mogą być bezwzględnie słusznemi, jako tak samo oparte na przypuszczeniu przeciwieństwa pomiędzy duchem i ciałem, jak i owe ascetyczne wyżej przytoczone, z których te powstają. Hołdownicy tej trzeciej pary zasad zaniedbują zwykle działalność duchową i pracę umysłową ażeby sobie zdrowia nie nadwerężyć: tu należą rodzice, którzy, przez dbałość o zdrowie dzieci, nie pozwalają ich *męczyć* nauką, i w ogóle ludzie do pracy umysłowej leniwi i ociężali lub ją w porównaniu z przyjemnościami cielesnemi lekceważący.

Nietrudno, na mocy tego wszystkiego, cośmy w tym i poprzedzającym artykule o cechach życia ludzkiego powiedzieli, dostrzedz że zwolennicy dopiero co przytoczonych zasad dobrowolnie zrzekają się szlachetniejszych cech swego życia i zbliżają je do życia zwierzęcego. Zasady te nazwalibyśmy utylitarnemi.

Nakoniec, z przestawienia krańcowych zasad materyalistycznych, uprzednio wspomnianych, otrzymamy czwartą i ostatnią parę twierdzeń o stosunku korzyści ducha i ciała, a mianowicie: *co pomaga duchowi, pomaga i ciału* i *co szkodzi duchowi, szkodzi także i ciału*. Te dwie zasady, zdaniem naszem, są może prawdy najbliższemi. Sama już bowiem ocena szkodliwości lub pożytku, choćby tylko dla ciała, wymaga już rozumu i uzdolnienia — instynkt, u zwierząt tak silny, u człowieka prawie nie istnieje — a więc wymaga pewnego rozwoju duchowego. Te dwie zasady wydają się nadto najodpowiedniejszemi pojęciom o wzajemnem oddziaływaniu ducha i ciała i szlachetniejszym cechom życia ludzkiego. Kształcenie lepszej cząstki człowieka — rozwój duchowy—nie może i nie powinno wychodzić na szkodę, lecz owszem musi wyjść na pożytek zdrowiu i ciału, a zaniedbanie duchowego rozwoju i duchowej działalności prowadzi, jak to nieraz widzimy, do tego że nawet o zdrowie własnego ciała ludzie ciemni niezdolni są troszczyć się rozumnie, to jest prawdziwie po ludzku. W każdym razie godniejszem jest człowieka, ażeby duch kierował ciałem, a więc i życiem i zdrowiem cielesnem, aniżeli odwrotnie, a skoro tak być powinno w praktyce, więc i w teoryi, wnioskując o stosunku pożytku lub szkody, wypada za punkt wyjścia uważać pożytek ducha lub jego szkodę, nie zaś odwrotnie. Zasady te nazwiemy humanitarnemi, to jest prawdziwie ludzkiemi. Do tych to właśnie wniosków dążyliśmy w tej pierwszej połowie niniejszego artykułu. Nim pójdziemy dalej, powtórzymy w następującej tabliczce rozebraną powyżej logiczną kombinacyą owych zasad i ich ocenę, których nie wzięliśmy od żadnego z myślicieli ani uczonych.

Stosunek pożytku i szkody ducha i ciała.

Cztery pary zasad.		Ciału.	Duchowi.	Ciału.	Nazwy.	Cechy.
I.	*a*)	co szkodzi	pomaga		*Zasady ascetyczne*	Biczowania Dręczenie ciała. Głód
	b)	— pomaga	szkodzi			
II.	*a*)	co pomaga	pomaga		*Zasady materyalistyczne*	Duch i rozum na wagę ciała
	b)	— szkodzi	szkodzi			
III.			*a*) co pom.	szkodzi	*Zasady utylitarne*	Lenistwo duchowe
			b) —szkodzi	pomaga		
IV.			*a*) co pom.	pomaga	*Zasady humanitarne*	Przewaga ducha
			b) —szkodzi	szkodzi		

(*d. n.*)

Szczęście za górami.

— Na bożym świecie pracować trzeba:
Ciałem dla ziemi, duszą dla nieba;
Szczęście ów będzie miał
Co potem czoła swój zagon rosi,
Lub z za gór dobre ziarno przynosi
By je dla swoich siał.

Tak prawią ludzie — aż słuchać nudno!...
Pracować zawsze — trudno, ej, trudno!
Ale kto rozum ma
Idzie za góry, gdzie inne pola,
Gdzie złote kłosy plenna mu rola
Bez wielkiej pracy da.

Więc, kiedy chcecie, gadajcie sobie!
Ja po swojemu jak chcę tak zrobię:
Wszędy jednaki świat...
Obcy i swoi gardzą biednemi,
A gdym bogaty, mam raj na ziemi:
Szczęsnemu każdy brat.

A za górami jest kraj bogaty,
A za górami z jedwabiu szaty,
Dyament ogniem lśni!
Tam jasne perły w głębinach leżą,
Tam złoto, srebro na korce mierzą,
Blask! aż się w oczach ćmi!

Tam za górami cuda i dziwy:
Zdrój mlekiem, miodem cieknie przez niwy,
Zimą ciepluchny maj;
Na drzewie razem owoc i kwiecie,
Człek się nie strudzi a żyje przecie;
Toż mi kochany kraj!

Tam za górami, w jednym narodzie,
Miasta budują na morskiej wodzie,
Aż patrzeć bieże strach!
A w drugim ludu jak czarne mrowie,
Setni mądrale, setni panowie;
Na gmachu stoi gmach!

Tam pono codzień, jakby w niedzielę,
Huczą grajkowie, huczy wesele,
Serce ogniściej wre!
Przez świat, jak w polu rwące tumany,
Pędzą gdzieś ludzie niby szatany;
Aż wicher w tropy dmie!

Oh! to mi szczęście! to złota dola!
Każdy ją znajdzie tam...
Żegnaj Halino, żegnajcie pola!
Za góry idę sam!

— O mój Jasieńku, o mój ty bracie!
Za góry idziesz sam?...
A któż w ojcowej zamieszka chacie,
Kto dopomoże nam?

Z kim ja zostanę biedna sierota?...
Kto gorzkie otrze łzy?
Kto w opuszczone zajedzie wrota,
W słotne pocieszy dni?...

Jasieńku miły, czy nie żal tobie
Modrych rzeczułki fal,
I białej brzozy na ojca grobie?...
Mogiłek czy nie żal?...

I czarnych borów, i niw dokoła,
Siwych na niebie chmur,
I dobrych ludzi z naszego sioła
Co tych nie przeszli gór?

Tutaj cię matka wykołysała,
Tu jest kościołek twój;
Tu na cię wiara najświętsza zlała
Czysty żywota zdrój.

Gdzież od naszego jaśniejsze słońce,
Gdzie serca w piersiach takie gorące?...
I dla Haliny
Zostań jedyny
Bratenku mój!...

Ejże, Halino, smutna dziewczyno,
Kwilić niewieścia rzecz;
Chyżo czas leci, chyżo dni płyną,
I bieda zejdzie precz!

Pochwycę dolę tam, za górami;
Z krzyżowych spędzę dróg;
Przywiodę młodą, strojną gwiazdami
W nizki, sosnowy próg.

I zadrżą węgły i runą ściany:
Z chaty iskrzący gmach,
Niby z kryształu cudnie ulany,
Dźwignie tęczowy dach.

Jakież śliczności, jakież tam dziwy!
Ptaszki z za morskich stron,
Z miękkiej murawy bije zdrój żywy,
Z róż złoty wschodzi tron.

Dola zasiądzie niby królowa,
Otrząśnie rąbki szat
I pryśnie rosa dyamentowa,
Aż się rozwidni świat.

I rubinowe zalśni nam słonko,
Srebrny popłynie zdrój,
Z białych lilii wzleci nad łąką,
Złotych motyli rój.

I sunie drżący obłok różowy,
I sypie lekko deszczyk perłowy...
Dalej Halino,
Dalej dziewczyno,
Zbierz posag twój!...

— Jasieńku drogi, boląż te słowa...
Boli twój śmiech i żart:
Skarb wiekuisty Bóg jeden chowa
A złoto pleni czart.

On cię pokusą uwikła w biedzie,
Tumanem zaćmi wzrok,
Skrępuje czarem i tak wywiedzie
Za onej góry stok.

I będziesz szukał złotego pola,
Mchami usłanych dróg,
A tobie czarna płacznica dola
Zasieje ciernie i głóg.

I będziesz szukał przemądrych ludzi,
Światła co z góry mknie,
A tobie wicher duszę wystudzi,
Obłąka w gęstej mgle.

I będziesz patrzył gdzie rubinowy
Obłoczek w słonku drży,
A tobie z oczu, jak deszcz perłowy
Trysną sieroce łzy.

A każda pali, a każda gore,
Krwią z tamtych płynie gór...
O, ja nie perły na wiano zbiorę
Jeno korali sznur!

Płacze Halina, płacze dziewczyna,
Niby złamany kwiat...
A Jasiek sobie nizką doliną,
A Jasiek sobie górską drożyną
W szeroki idzie świat.

I coraz dalej i coraz wyżéj
Sięga już prawie chmur...
I nic nie widać, tylko mgła rośnie,
I nic nie słychać, tylko żałośnie
Szumi jodłowy bór.

Minęła wiosna, minęło lato,
Płyną godziny, dnie,
Stoi Halina, stoi przed chatą,
Oczy za góry śle.

Minęła jesień, minęła zima,
Wesoły kwitnie maj;
A Jaśka nie ma, brateńka nie ma:
Obcy mu droższy kraj.

Czy on pamięta? czy on powróci?
Przebrnie zdradliwą toń?...
Czy kiedy ojców piosnkę zanuci,
Bratnią uściśnie dłoń.

Darmo go wzywać, próżne czekanie...
Bogu się tylko zdaj!
Braterskiej dłoni pewno nie stanie
Komu w obczyźnie raj.

A prędzej burza gromem odwali
Bryły kamiennych skał,
Niż się ów człowiek w duchu rozżali
Co złotu serce dał.

Szumi wiatr, szumi, nad lasem wieje,
Potoki biegną z gór
I ptak samotny skrzydłami chwieje,
Od sinych leci chmur.

Sen, czy uroki?.. nie! skrzydła ptasze
W cieniu majaczą tam...
Ach, to zkłąkane pachole nasze:
Jasiek powraca nam!

Jasiek powraca!... to on, niebożę,
Powolny wiedzie krok...
Lica, jak obłok gdy zgasły zorze,
Tęsknoty sieją zmrok.

Z wyżyn ku własnej schodzi już ziemi,
Oczy w dolinie tkwią;
Jak dwie gromnice blaski drżącemi
Z po za łez gorzkich lśnią:

U czoła myśli snują się mgliste;
Chęć je unosi w dal...
We włosach nitki świecą srebrzyste,
Piersiami targa żal.

— A gdzie, pacholę, gdzie lata młode?
Skarb drogocenny twój?...
Perły, dyamenty cisnąłeś w wodę,
Rubinem krwawy znój.

Gdzie ów z kryształu gmach cudnie lany,
Złocisty doli tron?...
Za tobą nędza wstrząsa łachmany,
Z obcych wypędza stron.

A gdzie twój zagon, gdzie ojców chata,
Gdzie Halka?... spytaj wraz.
Bluszcz nad nią wieńcem dawno oplata
Stary, omszony głaz.

Gdzie bracia, młodzi twoi druchowie?
Czy pamiętają cię?...
Świat i mogiła chyba odpowie;
Nikt nie powita, nie!

Tylko się wicher głucho zaśmieje
W cmentarny bijąc sklep,
I przez rozwiane twoje nadzieje
Pusty ukaże step.

Lepiej ci było pozostać z nami,
Szeroki żyźnić jar,
Niż szukać doli tam — za górami,
W ślad złotych gonić mar.

Lepiej przed święte ojców ołtarze,
Gdzie trwały świeci blask,
Rękę i serce położyć w darze
Bożych czekając łask.

Bo jedna praca człeka zbogaca,
Bo siły wzmaga trud,
Bo tylko cnota dolę ozłaca,
Bo t. lko wiernym cud!

Spojrzyj weselej błędny sieroto,
W kościelny idźmy próg
Tam w górze srebro, tam nasze złoto:
Bóg!

Gdy w sercu chłodno a dusza chora
Z doliny patrzmy zwyż;
Tam w słonku rosną ziółka na leki,
Tam skarb obfity, choć niedaleki,
Skrzydłami cicha słoni pokora,
Bieluchne w cierniach róże uściela...
Tam znak co wskaże drogę wesela:
Krzyż!...

Płyńcie; o płyńcie dyamentowe
Łzy na ubogi strój...
Zalśnij w rubiny, w krople perłowe
Skarbie nasz, skarbie mój!

Kiedy nas dola czarem nie mami,
Gdy nie tu szczęścia raj,
O daj nam, Panie, tam — nad górami
Twych wiecznych bogactw kraj!...

Marta.

PAN MICHAŁ
POZYTYWISTA WARSZAWSKI.
Studyum z natury Ignacego Pstrokońskiego.

(Dalszy ciąg).

Program przedstawiony przez gospodarza zebranej młodzieży, przez wszystkich przyjęty z oklaskiem, postanowiono natychmiast wykonać. Dziennik też wprędce stał się stekiem paszkwilów i wystąpień tak gwałtownych, jakich przed tem nie było przykładu. Rzucano się na ludzi, powstawano na zasady, najpiękniejsze uczucia wciskano w karby rachunku, co słowo powoływano się na pozytywizm, na realizm, dowodzono że poświęcenie jest szaleństwem, działanie bez widoków korzyści głupstwem, miłość oszołomieniem a małżeństwo z nieposażną panną wierutnem głupstwem. Wszystkie te występy kraszono przytem oddzielnemi artykułami o poważnej i dobrej myśli, ale w nich więcej było słów jak rzeczy, więcej deklamacyi i wrzasku jak rzeczywistego i przekonywającego dowodzenia. Pisano je na poczekaniu, zaraz w pierwszej chwili jak zaświtały w głowach, a jednak z pewnością tak wielką że nawet chęć ich dobra nikła w tłumie ogólników mających być niby taranem rozbijającym ciemności. Tytuł był w nich wszystkiem, im ten był krzykliwszy i więcej zwracający na siebie uwagę, tym lepiej, dawał bowiem rozgłos, przynęcał, zaciekawiał, robił więc to czego żądano.

Ludzie poważniejsi kręcili na to głowami i uśmiechali się, prasa stanowczo wówczas przezwana starą milczała, na zaczepki nie zważała, rzucano się więc na nią coraz skorzej, coraz śmielej, oskarżając o rozmyślne pomijanie myśli przez ów dziennik podnoszonych.

Pan Michał był jednym z czynniejszych jego pracowników. łajał, karcił, krytykował wszystko i wszystkich i każdemu głosił, że służy chorągwi pozytywnej i jest czystym pozytywistą, w nic nie wierzącym tylko w to, co widzi, czego się może dotknąć i zaświadczyć zmysłami. O jakiejkolwiek bądź nauce nawet już nie pomyślał, bo po co miał się mozo-

lić nad poznaniem tego co nie ma żadnej wartości, co wytworzyły głowy tak sponiewierane i wyszydzone.

Gniewało jednak wszystkich zaczepianych milczenie, jedni widzieli w tem zdrożną pogardę, drudzy poczucie się do winy, a inni wreszcie uporczywość w postanowieniu nie przyczyniania się niczem do rozgłosu pisma tak dzielnie sprawie ogólnej służącego.

Mimo jednak tego pismo nabierało rozgłosu, liczba czytelników zwiększała się, wydawca jego zacierał ręce z radości a o resztę nie dbał.

Takim to sposobem powstało u nas kółko pozytywistów z dodatkiem warszawskich dla odróżnienia od prawdziwych zalecających się głęboką nauką: i takim został pan Michał. Przerzucając dzienniki, oglądając tytuły rozdziałów książek, rozprawiając z towarzyszami. nabrał wymowy, zręczności, a prze de wszystkiem łatwości wyszydzania wszystkich pojęć i zasad stanowiących podstawę porządku społecznego.

Stan ten jednak trwał niedługo: gdy się wygadano i wypisano, przyszła rozwaga. Michał był pomiędzy pierwszemi co się upamiętali i zrozumieli, że takie zerwanie ze wszystkiem i wszystkiemi do niczego nie doprowadzi, że pragnąc nowe kierunki wskazywać trzeba koniecznie znać drogi dotąd przebyte i na nich opierać swoją działalność. Był to więc szał chwilowy i nic więcej, szał wyrosły z potęgi ducha świadczący pochlebnie o geniuszu całego społecznego organizmu. Do zbyt pochopnego działania poruszył go ból przenikający ustrój społeczny. Czując go i szamocząc się z cierpieniem, zdawało się szermierzom, że go usuną za jednym zamachem pióra, że dość wypowiedzieć co było złego aby dobre zapanowało.

Omylono się ale upamiętano i co ważniejsza błąd uznano. Nie każdy to umie i kto potrafi wielkiej rzeczy dokonał.

Szkody jednak z tego niemałe wynikły. Posiane złe ziarno wydało odpowiednie owoce. Krzyk piśmienny odbijając się echem szedł z góry na dół i padając na grunt prosty i nieprzygotowany zmienił się w głos prawdziwie potworny, który nawet tych co mu dali początek, oburzyłby i przeraził.

Przekręcone myśli, fałszywe wnioski, spaczone pojęcia, wniknęły w najtajniejsze kątki. Zapowiedź nowej ery pociągnęła wielu; świat miał się odrodzić na nowych podstawach, stare zbutwiałe w gruz się rozsypują, więc rozbrat z niemi bez hamulca który namiętności dotąd trzymał na wodzy. Idea walki o byt rozwielmożniła się, stała się powszednim chlebem umysłów którzy dotąd filozofii nawet z nazwiska nie znali, a z niej wyrósł najgrubszy materyalizm tym straszniejszy, że go nie łagodziła ani odrobinka prawdziwej wiedzy. Uczony z mozolnych badań przychodzący do wyłącznej czci dla materyi i sił rozlanych w naturze, przed napotykaną wszędzie niepojętą dla niego mądrością chyląc głowę staje się dobrym.

Prostaczek wznieść się tak wysoko nie umie i jedno tylko pojmuje, że kiedy we wszechświecie w walce o byt, nawet korzeń jednej rośliny dławiąc bezkarnie drugi, wypełnia tylko prawo jakiemu ulega, to i jemu wolno robić wszystko w staraniach o korzyść i zadowolenie własnych pragnień. Przykładów na to przytaczać nie widzimy potrzeby: zapisują je codziennie sądy, więzienia, wiadomości o kradzieżach i coraz nowsze pomysły zabezpieczania drzwi i lufcików przed spodziewaną napaścią.

Ale i pomiędzy temi co dali do tego początek dotkliwe bardzo pokazały się szkody. Wielu z nich zajaśniawszy pobłyskami prawdziwego talentu, zmarniało wprędce nic już nowego i również dobrego nie umiejąc z siebie wydać. Talent domaga się gwałtem pokarmu myśli. Daje go ciągła nauka, gdy ta w pomoc nie zostanie przywołaną, talent choćby największy wytleje i wygaśnie. Jest on wówczas podobny do młyna w którym między obracające się kamienie nie sypie się ziarno. Marnotrawstwo takie talentów strata to wielka niczem niepowetowana: cierpią przez nią jednostki ale cierpi i ogół, bo każdy talent to światło przy którego blasku społeczność drogę swego życia przebiega.

Przytem przebieg całej tej sprawy jakkolwiek rozbudził rozwagę, zostawił w umysłach pewną czczość, pustkę, rodzaj żalu niewczesnego. Do nauki już nie było czasu, do pracy usilnej chęci, świat się uśmiechał, rozkosz nęciła, zdobywanie stanowisk chlebodajnych stawało się coraz trudniejsze, brak dokuczał....... powstała gorączkowa żądza dorobienia się majątku, nie mrówczą ciężką i długą pracą ale nagle, odrazu przez spekulacyą, hazard, szczęśliwy wypadek lub wreszcie bogate ożenienie. Z krótkiego życia chciano jak najprędzej korzystać, nie bacząc że młodość jest pracownicą dla starości, i że pomyślność jednostek i całych społeczności zdobywa się potroszku po odrobinie, umiejętnem oszczędzaniem zarówno szeląga jak sekundy czasu. Pan Michał stał się jednym z gorliwszych wyznawców tej nowej szkoły, poraz pierwszy ujętej w pewne formuły i okraszonej wywodami naukowymi.

Właśnie w tym czasie odziedziczył małą wioskę po zmarłym wuju i to go zapaliło do powiększenia fortuny. Zaczął oszczędzać, ciułać, przy każdym wydatku namyślać, i coraz bardziej podnosząc potęgę złota, postanowił bądź co bądź ożenić się bogato, już nie z kroćową panną ale milionową. O miłości, o potędze uczucia i szczęścia jakie daje, nawet nie myślał. Były to, według jego przekonania, popędy na idealnym nie pozytywnym gruncie oparte, ideałem i śmiesznym i wstrętnym zarazem. Pozbywszy się niektórych pojęć zbyt wyskakujących po nad poziomy społecznej umysłowości, z zaczerpniętemi w materyalizmie nie mógł się rozstać. Czepiają się one człowieka jak oset sukni, zwłaszcza do ich poznania nieprzygotowanego. Można się z nich trochę otrząsnąć, rozbratać z niemi, zawsze jednak pozostawią ślad swojego pobytu.

Michał, jak sam powiadał, był pozytywistą warszawskim o tyle poprawnym, że wierzeń innych nie wydrwiwał, szanował starszych, kochał to co oni kochali, ale przekonań ich w wielu wypadkach nie podzielał. Przedewszystkiem wszystkie moralne pobudki odrzucał bezwarunkowo i wierzył najzupełniej, że pieniądz jest wszystkiem, że brak jego tworzy przestępców a dostatek uczciwych ludzi. Kto go ma wszystko posiada, więc wszystko co przeszkadza do jego zyskania, co utrudza jego zdobycz, jest złem i wyrwane z korzeniem być winno.

Ale człek celuje a Bóg dysponuje: panien posażnych znalazł dosyć, nie znalazł tylko owej jednej coby go przynęcała nie samym tylko posagiem. Przeciwnie nawet, ta z którą chętnie stanąłby na ślubnym kobiercu, o postaci której często marzył, zachwycał się jej urokiem, uwielbiał dowcip i rozsądek, była tak ubogą panienką, że na paluszkach swych nie miała ani jednego pierścionka, w uszach złotych kolczyków tylko pozłacane, a rękawiczki bardzo często ze śladami igły i nitki ukrywające chemi ich zużycie. Lubił ją jednak, szukał towarzystwa, rozmawiał wiele i czuł się przy niej w jakimś dziwnym stanie jakby podniesionym od ziemi, w uczuciu błogości dotąd nieznanej. Gdy tracił ją z oczów, gniewał się sam na siebie za tę chwilową folgę rodzącej się namiętności, biegł jednak chętnie na jej powitanie i przy niej zapominał o wszystkiem.

Panienka ten stan serca Michała odgadywała i czuła w serduszku swem powstającą ku niemu skłonność, ale rządząc się wrodzonym rozsądkiem przytłumiała ją, czekając aż wyznanie otwarte wyrwie ją z roli biernej i równie otwarcie pozwoli przemówić. Pan Michał tymczasem gładził czupryne, muskał bródkę i kręcił wąsy, a przeglądając się coraz częściej w lustrze szeptał:

—Dzieweczka ponętna jak kwiatek, ma wszystkie warunki do zostania dobrą żoną, brak jej tylko jednego najważniejszego...... posagu. Gdyby miała choć niewielki, choć sto tysięcy, dziśbym się jeszcze oświadczył i ożenił. Na nieszczęście nie ma ani grosza, panna zaś bez posagu to jak dom bez dachu, śpiżarnia bez zapasów, a kasa bez pieniędzy. Z serca nie wykroisz jednej nawet dachówki, jednego nie wyciśniesz obiadu ani nawet szeląga. Takie prawo natury, nic go nie zmieni, a kto miłością chce wszystko zastąpić, głupiec wierutny!

Mimo jednak rozumowań podobnych powtarzanych nieustannie panu Michałowi serce coraz bardziej rozmiękało i prawie nie było chwili w którejby nie myślał o nadobnej dzieweczce. Przypominał sobie każde jej słowo, jej ruch i spojrzenie: w myśli swej widział jej kibić wysmukłą, buzię pełną powabu...... wyciągał do niej ręce, przytulał do siebie, pieścił, zachwycał, marzył...... i nagle zawołał:

— Hola! panie Michale. nie bądź waryatem! Pilnuj się i miej na baczeniu bo widocznie byłeś blizki potknięcia się, z którem guzy i sińce na całe pozostają życie! Wzdychaj, marz, zachwycaj się a nawet kochaj ale małżeństwem nie durz się. Przysmaczek ten nie dla ciebie, żona to największy zbytek jakiego człowiek dopuszcza się, niechże mu posag idzie w pomoc.

Przywrócony do porządku Michał zmienił i swoje postępowanie: z codziennego prawie gościa stał się rzadszym, bywał co dzień trzeci, co czwarty, wreszcie raz na tydzień. Towarzystwo panienki było mu zawsze jednakowo pożądane, rozmowa z nią zawsze zachwycała go jak dawniej, mimo tego rodzącej się namiętności postanowił wypowiedzieć wojnę, zdławić ją, zdusić, rządzić się tylko rozumem a sercu kazać zamilknąć. Walka ta jednak tak przeciwna prawom natury, kosztowała go niemało. Posmutniał, był jakiś nieswój, stał się drażliwym, niezadowolonym, nawet trochę przymizerniał, ale walczył wytrwale, panienkę coraz rzadziej widywał, wreszcie postanowił ją zupełnie opuścić jako pokusę zbyt niebezpieczną. Biedna dzieweczka zrozumiała powody tej zmiany postępowania, serce jej przeczuło wszystko ale że powstające w niem uczucie musiała zawsze trzymać na wodzy, doświadczony zawód nie wywarł na nią zbyt dotkliwego wpływu. Sprawił wielką przykrość lecz nie boleść i wyrobił przekonanie, że z człowiekiem podobnym nie byłaby szczęśliwą i nawet wdzięczność uczuła dla Opatrzności że jej nie dając bogactwa, ustrzegła od zrobienia wyboru któregoby później żałowała.

Uspokojona zupełnie, w coraz już rzadszych spotykaniach się z Michałem była grzeczną jak zwykle ale obojętną. Rozum i w niej wziął przewagę, do czynności w tym kierunku pobudziła go konieczność, w Michale zaś gwałt dobrowolny. Panienka usłuchawszy jego głosu była zadowolona z siebie, Michał zły i rozdrażniony. Natura nie cierpi przymusu, poddaje się ale srodze karze gwałcicieli. Pan Michał nie znał jeszcze tego, a choć w innych razach uznawał prawa natury, w tym wypadku własnym pojęciom oddawał pierwszeństwo.

— To wymysły ludzkie, myślał sobie, miłość to cacko którem bawi się dziecko, jakiś dziwny stan gorączkowy, który prędko przemija zostawiając po sobie przesyt i znudzenie. Mamże więc uledz chwi-

lowomu kaprysowi i narazić całą swoją przyszłość na żal po niewczasie? Nigdy! Dziecko nie jest człowiekiem a cacko niegodnem dojrzałości aby po nie wyciągało rękę.

Przestał zatem bywać i widywać się z ukochaną. Tęsknił do niej, czar jednak jakiemu ulegał słabł, nie o tyle przecie aby wyniszczył zupełnie wspomnienia, które się z pewnym wyrzutem do niego odzywały.

Raz przypadkiem znalazł się w jej towarzystwie. Była niezmiernie ożywioną, swobodną, Michał patrzył na nią z zajęciem ale się nie zbliżał gdyż uważając się za zupełnie wyleczonego lękał się ponowienia walki, w której był pewny że wyszedł zwycięzko.

Wtem wszedł do salonu młody człowiek miłej niezmiernie powierzchowności. Marynia, bo takie było imię uroczej panienki, pokraśniała a młody człowiek imieniem Stanisław powitawszy wszystkich zwrócił się do niej. Rozmowa zawiązała się i z tak wielkiem zajęciem, że oboje zdawali się nic nie widzieć tylko siebie. Podrażniło to niezmiernie Michała, obudziło jakby zazdrość której ulegając skorzystał z pierwszej lepszej sposobności i upatrzywszy wolne przy niej miejsce zajął je.

— Kto jest ten młody człowiek co przed chwilą rozmawiał z panią? zapytał.

— Urzędnik z banku handlowego X. odrzekła.

— A! to się omyliłem w przypuszczeniu, sądziłem bowiem że to szturmujący jakiś ochotnik do serduszka pani.

— Dlaczegóż pan sądzisz że się omyliłeś?

— Jakto! więc jest na prawdę starającym się o rękę pani?

— Być może.

— I pani poszłabyś za niego?

— Jeżeliby mi się spodobał, jeźlibym nabrała przekonania że zrobiłby mnie szczęśliwą, dlaczegóż wybór jego miałabym odrzucić?

— Zapewne, ale są pewne warunki od których szczęście prawie wyłącznie zawisło. Człowiek tak skromnie uposażony, jakże może myśleć o związku małżeńskim...

— I to z panną bez posagu, dołożyła Marynia spostrzegłszy że Michał nagle przerwał i umilkł kręcąc głową znacząco.

— Ach! panno Maryanno, jakże można..... kto ma przymioty pani...

Marynia roześmiała się a Michał zmieszał.

— Nie jesteś pan szczerym, odezwała się po chwili z zupełną swobodą. Zdaje mi się że przyjaźń nasza godna większej otwartości, a pan chcesz mnie pozbywać utartemi frazesami tak przeciwnemi jego przekonaniu.

— Memu przekonaniu? Jakim sposobem pani znać je możesz?

— Dziwi mnie to zapytanie. Czyż sądzisz panie Michale że kobiety tak mało są przenikliwe, że nie umieją czytać w duszy człowieka, z którym dość długi czas obszerne prowadziły rozmowy?

— Więc i stan mojej duszy nie jest dla pani tajemnicą.

— Nie wiem, ale być bardzo może że go znam dokładnie.

— I cóż pani w niej czytasz?

Marynia wpatrzyła się badawczo w Michała i po chwili odrzekła:

— A czy pan przyrzekasz przyznać mi słuszność jeżeli odgadnę?

— Przyrzekam. ale pod warunkiem że pani będziesz najzupełniej otwartą.

— Zgoda, będę taką skorom do niej wezwana. Otóż czytam w pańskiej duszy, jakąś niezgodę głowy z sercem, jakieś z tego powodu niezadowolenie, zniechęcenie. Wyraźnie coś panu dokucza, coś takiego z czem się nie możesz pogodzić. Jakże czy nie prawda?

— Prawda pani, odrzekł Michał tak zdziwiony trafnem odgadnieniem procesu jego myśli. Przyznaję to chętnie, ale kto poznał chorobę to i lekarstwo na nie powinien przepisać.

— Nie jestem doktorem panie Michale.

— Wiem o tem, ale w cierpieniach duszy każdy nim być może. Prosić zaś o radę sądzę że mam prawo. Za nadto długo zachwycałem się pani towarzystwem...

— Zachwycałem? Czyż pan znów przybiera rolę ugrzecznionego salonowca?

— Nie pani, mówię szczerą prawdę.

Tak jest, zachwycałem się...

— Nic o tem nie wiedziałam, nawet nie przypuszczałam.

— Panno Maryanno, odezwał się Michał z wyrzutem, czyż pani sądzisz że i mężczyźni nie są równie przenikliwi jak kobiety, szczególniej w wypadkach wyłącznie ich osoby dotyczących?

— Być może, mogę jednak zaręczyć żem szczerą prawdę powiedziała.

— Grzeczność nakazuje mi przyjąć to objaśnienie, zawsze jednak...

— Grzeczność panie Michale, nie jest przekonaniem, które chcąc obudzić muszę zwrócić pańską uwagę, że zachwycanie się kimś jakkolwiek ma pewne formy w których się objawia, są one jednak tak przelotne, tak delikatne, tak trudne do ujęcia, że aby przeszły do wiadomości osoby wywołującej zachwycenie, muszą być koniecznie nazwane właściwem imieniem. Pan ani jednem słowem nie zdradziłeś swego zachwycania się, zkądże mogłam wiedzieć że wywołuję w nim tak pochlebne dla siebie wrażenie.

— Czyż nie widywałem pani tak często, czyż nie szukałem jej towarzystwa; czyż zawiązawszy rozmowę nie prowadziłem jej z zajęciem tak wielkiem że to nawet zwracało uwagę innych?

— Wszystko to prawda, odrzekła Marynia, ale przyznasz panie Michale, że byłoby to wielką z mej strony zarozumiałością, gdybym te dowody twojej dla mnie grzeczności, przypisywać chciała zachwycaniu się moją skromną osóbką. Wdzięczną byłam za nie, przyjmowałam je nawet chętnie, ale nie nadawałam im znaczenia wyjątkowego, tylko najzwyczajniejsze w świecie. Mógł to być kaprys chwilowy, przelotne wrażenie, jak mig błyskawicy, czyż miałam je gonić i chwytać jak dziecko światełko odbite od zwierciadła.

— Jesteś pani niezwalczoną w dowodzeniu, odparł Michał, a przytem okrutną jak dziecko z chrabąszcza robiące wiatraczek.

— Dziękuję za porównanie, przerwała Marynia, widzę jednak z tego że pan jesteś w jakiemś złem usposobieniu. Mówmy lepiej o czem innem.

— Nie cofam swego wyrażenia, tak, jesteś pani okrutną, bo wiesz co cierpię a nie starasz się bólu łagodzić, tylko przeciwnie ranę zadaną jątrzysz...

— Ranę przeze mnie zadaną? przerwała Marynia.

— Tak pani, przez ciebie. Nie wiem co się ze mną stało ale muszę się wygadać...

— Nie chcąc być pańską powiernicą, przerwała Marynia powstając, przepraszam że go opuszczę...

— Nie rób pani tego, błagam, odezwał się Michał. Czyż dla dawnego przyjaciela nie zrobisz tego poświęcenia.

(d. c. n.)

DRAMAT NA MORZU.

Osnuty na tle angielskiej powieści Oliviera Madox-Brovn p. n. „Czarny Łabędź.“

przez J. B.

I.

Ojciec Gabryela Danvers należał do pierwszych emigrantów którzy postanowili założyć kolonię na wybrzeżach rzeki Łabędziej (Swan-River) na wyspie Tasmania; matka, rodem z Portugalii, umarła skutkiem niewygód i nędzy, na jaką skazani byli ci pięciuset nieszczęśliwych tułaczy, rzuconych losem w te nieznane strefy. Większa ich część wymarła nie mogąc przetrwać strasznych cierpień na jakie się narazili!

Wychowany na łonie dzikiej przyrody, w okolicy gdzie nic nie budziło w nim zamarłych wspomnień pierwszej ojczyzny którą opuścił dzieckiem, Gabryel zostawszy młodzieńcem był milczący, cierpliwy, nawet apatyczny, jak człowiek który nie zastanawiając się i nie badając swych przeznaczeń, poddaje się im ślepo bez walki lub buntu. Ta przezorna bierność duszy rażącą tworzyła sprzeczność z jego silną i męzką naturą fizyczną. Odważny jak lew i zarazem łagodny jak baranek, z obojętnym wyrazem twarzy, smutnym uśmiechem na ustach, z pięknemi oczami z których niekiedy przyćmiony buchał płomień, Danvers był jednym z tych mężczyzn, których kobiety przeczuwają zanim oni poznają sami siebie i obierają ich za bohaterów swych marzeń.

Wiódł on ciężkie, często koczujące życie; załomy skał, gęste zarośla dzikich sawan, częściej służyły mu za schronienie niż mały jego domek w którym mieszkała siostra jego Katarzyna i daleka krewna, miss Debora Mallinson, którą ojciec zmarły przed kilku laty, jego powierzył opiece. Danvers przyłączył się do tych śmiałych awanturników, co nie zważając na zagrażające im tysiączne niebezpieczeństwa uganiają się za bogactwem, bez względu że goniąc za mrzonką tracą cały swój fundusz; straciwszy tym sposobem przypadający mu po ojcu spadek, pożyczył od siostry jej posagową sumę, aby znowu probować szczęścia. Katarzyna chętnie zgodziła się na to, gdyż kochała brata nad wszystko i uważała go za ideał doskonałości — a to aż do chwili kiedy poznała młodego i pięknego Franciszka Dickson, który pozyskawszy jej wzajemność oświadczył się o rękę pięknej Katy. Gabryel nie miał nic przeciw temu, ale ważna przeszkoda nie dopuszczała połączenia zakochanych: nie był wówczas w możności zwrócić siostrze jej posagu, a jedynem bogactwem Dicksona była wielka jego miłość dla narzeczonej. W tak kłopotliwem położeniu, miss Debora, zwykle milcząca i nie mieszająca się do niczego, tak iż posądzano ją powszechnie że nie ma serca, sama zaproponowała Gabryelowi aby wziął z jej posagu sumę potrzebną do ustalenia losu siostry, którą odda jej jak i kiedy mu będzie najdogodniej. Gdyby nie szło o szczęście ukochanej siostry, Danvers nigdyby podobnej przysługi nie przyjął od kobiety, a więcej od miss Mallinson, z którą zawsze był bardzo z daleka, choć lat tyle żyli pod jednym dachem. Przywiązanie do siostry zapanowało nad uczuciem dumy; Gabryel korzystał z ofiary kuzynki, Katy poszła za mąż, a miss Debora objęła zarząd cichego domku, który teraz wydał mu się bardzo pusty i smutny. Debora znała się dobrze na gospodarstwie, umiała cenić wartość pieniędzy i oszczędzać się w wydatkach — cóż więc mogło ją skłonić że tak szlachetnie zaofiarowała własny posag na korzyść swej kuzynki.

Ktoby patrzył na miss Mallinson gdy zimne zazwyczaj spojrzenie czarnych swych oczu wlepiała w Gabryela, zrozumiałby pewnie jaki zysk zamierzała wyciągnąć ze swego kapitału.

Miss Debora była wysoka i zgrabna, wiotka jej kibić gięła się jak gałązka pnączu; rysy twarzy regularne, wyraz dumny i nieugięty. Niekiedy gorąca krew portugalska uderzała do głowy występując na matowo blade policzki, lecz i wtedy na licach nie znać było rumieńca, tylko cała cera zdawała się brunatna. Jeden z przyjaciół Gabryela, Jerzy Martindale, uważał ją za bardzo piękną, co zaś do niego może nawet nie umiałby powiedzieć czy kuzynka jego jest ładna czy brzydka, brunetka czy blondynka, — w ogóle nie przypatrywał się młodym kobietom, a na nią nie patrzył zupełnie. Widząc że nie może obawiać się współzawodnictwa, Jerzy prosił przyjaciela aby go oświadczył kuzynce, na co tenże zgodził się chętnie i pewnego poranku, po milczącem jak zwykle śniadaniu, rzekł bez żadnych wstępów.

— Martindale oświadczył się o twoją rękę; jestto pretendent nie do odrzucenia, ładny chłopiec a do tego mój przyjaciel.

Nie spostrzegł że blada jej twarz posiniała prawie; nie odpowiedziała nic tylko gwałtownie zacisnęła dłonie. Danvers mówił dalej:

— O lepszej partyi ani myśleć; Jerzy jest bogaty, charakter jego prawy i szlachetny, a co więcej wyznał mi że kocha cię szalenie.

Debora wstała, zbliżyła się do Gabryela i kładąc rękę na jego ramieniu, rzekła głuchym głosem:

— Gabryelu, nie pójdę za nikogo innego tylko za ciebie!

— Za mnie! zawołał osłupiały, alež ja nie kocham się w tobie.

Czarne brwi miss Mallinson ściągnęły się; na wpół otwartych ustach gorzki zaigrał uśmiech; postrzegłszy jej bolesne wzruszenie, Gabryel żałował że odpowiedział tak szorstko i rzekł łagodnie:

— Przebacz mi Deboro, ale ja... ja nigdy nie pomyślałem o tem, wiesz jednak że... zatrzymał się chwilę—że szczerze pragnę twego szczęścia.

I rzeczywiście tak było; pragnął jej szczęścia, gotów był wszelkie ponieść dla niej ofiary — byle tylko nie żądała aby się z nią żenił. Jakkolwiek dotąd ani pomyślał o ożenieniu, jednak jeśli kiedy niewyraźne jakieś marzenie o szczęściu w małżeństwie przemknęło się przelotnie w jego umyśle, to nigdy uosobieniem jego nie była Debora. Jak tylko mógł zasięgnąć pamięcią, nigdy nie łączyło ich silniejsze przywiązanie ani żywsza sympatya, to też nie mógł zaaklimatyzować się w nowych strefach jakie niespodziewane oświadczenie kuzynki otwierało przed nim. Wyznanie kuzynki zakłóciło głęboko doskonały dotąd spokój moralnej jego istoty, a poczucie pierwej już zaciągniętego obowiązku ciężało mu na sumieniu. Dotąd sądził że chodzi tylko o pieniądze i że za kilka miesięcy a może nawet tygodni będzie mógł z naddatkiem zwrócić miss Mallison wypożyczoną od niej sumę — aż tu nagle dowiaduje się że stan rzeczy całkiem się odmienił, że miss Debora nie żąda zwrotu pieniędzy ale jego miłości.

Danvers stanął tedy na zupełnie obcym dla siebie gruncie; myślał i przemyśliwał nad kłopotliwem oświadczeniem Debory i wywnioskował nareszcie że niepodobna mu zaszczytnie wyjść z tego nowego położenia, jak tylko przychylając się do jej życzeń. Stanęło tedy milczące porozumienie: iż jeśli w przeciągu roku nie zmienią się uczucia Debory, Danvers pojmie ją za żonę.

Debora zdawała się poprzestawać na tem obojętnem, zimnem przyzwoleniem; Danvers przeciwnie im więcej zbliżała się chwila spełnienia danego przyrzeczenia, tem więcej dziwił się sobie i żałował że przyjął podobne zobowiązanie, którego dotrzymanie tak wiele miało go kosztować; cierpiał jednak w skrytości duszy, nie objawiając bolesnych swych przeczuć, nie uważając się w prawie zerwania węzłów łączących go z kuzynką i oczekując od losu że go wyzwoli z tej fatalnej matni.

Jakoż nastręczyła się okoliczność dozwalająca mu spodziewać się iż znajdzie sposobność wywikłania się z narzuconych mu zobowiązań; odebrał list z Anglii, pisany we wrześniu roku przeszłego, którym wzywano go do Londynu, dla objęcia spadku po zmarłym bezpotomnie bracie swojego ojca. W tych nowych strefach gdzie życie nie miało jeszcze czasu głęboko się zakorzenić, postanowienia tworzą się i wykonywają bardzo prędko; to też Gabryel nie namyślał się długo.

Statek *Czarny Łabędź* zarzucił kotwicę w zatoce Hobart-Town i za dni kilka miał odpłynąć do Kapu; Gabryel oznajmił więc kuzynie iż zamierza odpłynąć nim do Anglii, nadmieniając zarazem, iż po powrocie gdy urządzi swoje interesa, będą mogli się pobrać. Projekt ten nie podobał się miss Mallinson; odpowiedziała iż skoro Danvers zamyśla osiedlić się w Anglii, nie ma potrzeby daremnej odbywać podróży, że mogą w oznaczonym czasie wziąść ślub w dawnej jego ojczyznie i dla tego zamierza odpłynąć z nim razem.

Danvers westchnął ale nie śmiał się oprzeć; tak więc w położeniu jego nic się nie zmieniło i pojechał do Hobart-Town zamówić na statku dwa miejsca, dla siebie i dla miss Mallison.

II.

Po dwugodzinnej podróży wśród jałowych stepów, Danvers przybył do Hobart-Town; Debora miała przyjechać nazajutrz.

Zaraz po przybyciu udał się na pokład *Czarnego Łabędzia* i przedarłszy się przez paki i liny zalegające pomost, zwrócił się ku kajucie kapitana.

— Hola! he! niech tu ktoś przyjdzie! Pan jakiś pragnie się widzieć z kapitanem.

W odpowiedzi na to pytanie, młody porucznik wyszedł z pomiędzy otaczających go majtków i rzekł zbliżając się do Danvers'a:

— Do usług pańskich, jestem porucznikiem tego statku. Kapitan nasz zachorował i byliśmy zmuszeni zostawić go w Kapie, gdzie mamy nadzieję że niedługo odzyska zdrowie. Na czas jego nieobecności mnie powierzono dowództwo statku i pragnę wywiązać się jak najzaszczytniej z włożonego na mnie obowiązku. Czy pragniesz pan odbyć podróż na naszym statku? Nie spodziewaliśmy się znaleźć tu pasażerów.

Danvers prędko porozumiał się o cenę przewozu, poczem zapytał czy inni podróżni znajdują się na statku.

— Mamy tylko dwie damy; jedna w podeszłym wieku, druga młoda panienka. Pierwsza jest tak słaba iż zdaje się że nie doczeka końca podróży, druga, śliczna dziewczyna, nazywa się Laura Convay.

Usłyszawszy to nazwisko, Danvers wydał mimowolnie lekki okrzyk zadziwienia.

— Mówiono mi, mówił dalej porucznik, że ta ładna panienka jest sierotą, a chora staruszka jej ciotką, podobno płyną do Anglii, do hrabstwa Devonshire, gdzie mają nieznaną rodzinę. Hej! Tom! szalupa! zawołał zwracając się do majtka.

— Czy jesteś pan tego pewny że ta młoda osoba nazywa się Laura Convay?

— Tak panie, odrzekł żegnając go porucznik.

Danvers wskoczył do szalupy i po kilku uderzeniach wiosłami dobił do brzegu. Stanąwszy na lądzie, zwrócił wzrok ku fregacie na pomoście której tu i owdzie zaczynały błyskać światełka; chwilę wpatrywał się milcząc, nareszcie odszedł mówiąc do siebie:

— Laura Convay! byłażby to ta sama?...

Ośm lat temu, Danvers odbył wycieczkę w okolice Sydney'u i wraz z trzema towarzyszami obozowali na wysepce leżącej przy ujściu Paramatty, o cztery mile od Sydney. Na wyspie tej osadzono wielu przestępców i dla tego zostawała ona pod ścisłym nadzorem; jeśli ktoś z podróżnych zmuszony był zatrzymać się w tej miejscowości, musiał nieustannie mieć się na baczności aby nie wpaść w jakąś zasadzkę, w której nie tylko mienie ale i życie mógł utracić.

Pewnej nocy księżyc świecił prześlicznie, Danvers z towarzyszami leżeli na piaszczystem wybrzeżu, wypoczywając po trudach dziennych, gdy w tem nagle odgłos wioseł zakłócił ciszę panującą do koła. Odgłos ten raz dochodził ich wyraźnie, to znowu przycichał, plusk wody był nierówny, jakby słabą i niewprawną spowodowany ręką.

— Kto u licha tak jakoś dziwnie wiosłuje? rzekł jeden z kolegów Danvers'a.

— Zapewne jakiś upiór-żeglarza, odrzekł nie poruszając się Gabryel; nigdy żywy marynarz nie wiosłowałby podobnie.

— Hum! hum! mówcie cicho, rzekł inżynier Greg Mills, który dotąd przysłuchiwał się uważnie; bardzoby być mogło że ten przekradający się niewidzialny żeglarz, jest nie kto inny tylko słynny przemytnik Yaniker-Bill, polujący na nasze dolary i beczułki z wódką.

W tejże chwili z pośród skał porozrzucanych z przeciwnej strony, wychyliła się łódka wolno przesuwająca się po falach. Trzej młodzieńcy pochwycili nabite pistolety.

Łódź przybliżała się ciągle i wkrótce znajdowała się już tylko o kilka metrów od brzegu, a padające na nią jasne promienie księżyca dozwoliły widzieć małą i wątłą, może dziesięcioletnią jasnowłosą dziewczynkę, zaledwie mogącą utrzymać w swych maleńkich rączkach ciężkie wiosło z żelazną rękojeścią.

Dobiwszy do brzegu co prędzej wyskoczyła na ląd, wołając:

— Prędko! prędko! chodźcie, bo mi go zabiją!

I pochwyciła rękę Danvers'a ciągnąc go ku statkowi.

— Powoli, powoli! rzekł Greg Mill, zakrawa to na postęp jakich się tu często dopuszczają.

— Czegoż czekacie? wołało dziewczę jakby nie słysząc czy nie rozumiejąc słów inżyniera — mówię wam, że ojciec mój jeszcze bardzo słaby, że mi go zabiją... prędzej! prędzej!...

Greg Mill zaczął gwizdać nie ruszając się z miejsca.

— Zostajecie? zapytał Danvers, ściskając rękę dziewczynki, — jak chcecie, ja idę.

Wskoczył do łódki i chwycił za wiosło; wtedy i towarzysze nie chcąc okazać się mniej odważnymi poszli za jego przykładem.

Podczas krótkiej żeglugi dziewczynka nie wyrzekła ani słówka, tylko ciągle nie puszczała ręki Gabryela; gdy później przypominał to sobie, nie mógł pojąć czemu to dotknięcie jej małych rączek, tak miłe sprawiało mu wrażenie.

W oknach osamotnionego domku, stojącego o kilka metrów od brzegu, blade błyskało światełko; wylądowawszy, dziewczę pobiegło do drzwi i wracając co tchu zawołała:

— Wyłamcie drzwi, bo je zamknęli z zewnątrz. Słychać było jęki i jakby odgłos walki.

— Otwierajcie w imię prawa! krzyknął Danvers, uderzając we drzwi lufą pistoletu.

Zamiast odpowiedzi posłyszano szczęk broni i kolba karabina ukazała się w jednem oknie, w tejże chwili Danvers z towarzyszami wyłamali drzwi a jednocześnie niemal dwóch mężczyzn wyskoczyło oknem i znikło w ciemności.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Opowiadania historyczne przez D ra A. J. Lwów 1876.

Niwa historyczna — zarówno poważnych badań jak i popularnego obrazowania dziejów—w literaturze Królestwa stoi prawie całkiem odłogiem. Ostatni z poważnych badaczów—Bartoszewicz niedawno zstąpił do grobu, nie pozostawiwszy godnych siebie następców. Czasami wprawdzie napotykamy w piśmiennictwie peryodycznem tutejszem niby historyczne opracowania, ale w tych tylko prawda dziejowa bywa nakręcaną do modnych i z wielu względów popłacających dziś teoryek lub służy za temat dziwacznym łamańcom i nieokiełznanemu fantazyowaniu, mającemu pretensye do oryginalności i głębokiego krytycyzmu. Co do popularyzatorów wiedzy historycznej, tych na miejscu nie mieliśmy i nie mamy, a od śmierci Szajnochy rzadko już dochodzą do nas prace krakowskich i lwowskich historyków, zawsze, a szczególniej teraz tam liczniejszych. Dr. A. J., o którego książce mamy mówić, prawdopodobnie podolanin, poszedł w ślady Szajnochy i, należy wyznać, z pomyślnym skutkiem. „Opowiadania historyczne" odznaczają się barwnością i żywością, dają nam wiele nowych szczegółów, wypadki i osobistości znane częstokroć w nowem świetle przedstawiają, a przytem, jak zapewnia autor, wszystko w jego książce, nawet epizody z życia prywatnego i wplecione tu i owdzie romantyczne z powieściowym charakterem przygody — wszystko to jest ściśle historycznem i prawdziwem, zaczerpniętem przez autora z nieznanych dotąd źródeł i dokumentów. Prawda że tych źródeł i dokumentów autor dokładnie nie oznacza, ale jeżeli zaufamy jego zapewnieniu, to w takim razie jego „Opowiadania" będą miały nawet pewną wyższość nad niektóremi szkicami Szajnochy, w których jak wiadomo, wyobraźnia i poezya biorą czasem przewagę nad prawdą i krytyką historyczną. Historya jest niewątpliwie niewyczerpanem źródłem poezyi; w opowiadaniach popularnych wolno i potrzeba użyć barw i kolorytu poetycznego, ale nie należy go wnosić z zewnątrz, z uszczerbkiem prawdy i wbrew krytyce historycznej: dość bądźcie i w tem właśnie główna zasada i najtrudniejsze zadanie opowiadacza — wykrzesać i wydobyć z samego przedmiotu iskry poetyczności, którą zawsze i wszędzie uzdolniony umysł wykryć i wydobyć potrafi, gdyż żadna epoka dziejów, żadne przewroty i przedsięwzięcia społeczne nie są ich pozbawione.

Opowiadania D-ra A. J. tu i owdzie mają cechę powieściową; gdzieindziej przeważa ton pamiętnikarza i sprawozdawcy; w innych wreszcie opowiadaniach panuje ton pragmatyczny, wyjaśniający i tłomaczący wypadki, przy czem autor bynajmniej nie ukrywa swoich sympatyi i wypowiada poglądy, niekiedy odmienne od przyjętych powszechnie, jak o tem jeszcze poniżej wspomnimy. Książka zostala przyjętą sympatycznie i stała się popularną: pierwsze wydanie zostało już wyczerpane w ciągu niespełna roku (co u nas rzadko się trafia) i podobno ma wkrótce ukazać się dalszy ciąg tych zajmujących opowiadań.

Po tych ogólnych uwagach, rzućmy okiem na treść książki.

Wszystkie opowiadania autora są osnute na tle dziejów Podola i Ukrainy z ostatniego wieku istnienia Rzeczypospolitej (od połowy XVII do końca XVIII stulecia.

Pierwsze i najdłuższe z opowiadań „Pod półksiężycem" zawiera dzieje oblężenia i zdobycia przez Turków Kamieńca (1672) i kilka zarysów z epoki panowania tureckiego na Podolu (1672—1699). Bohaterski opór nielicznej garstki oblężonych i załogi przeciwko 340,000 Turków pod sułtanem Mahometem IV, poświęcenie się majora Heklinga, który pomimo kapitulacyą, zapewniającą odwrót załodze, wolał wysadzić się w powietrze z częścią twierdzy i 500 towarzyszami, rabunek zdobytego miasta, zabieranie kobiet do haremów, spustoszenie Podola i Ukrainy, okrucieństwa Tatarów, przypadki zdrady ze strony poturczonej szlachty — wszystko to malowniczo przedstawia autor w tysiącznych szczegółach i obrazkach.

Rzeczpospolita była naówczas bezsilną i nie była w stanie obronić „klucza" swego nad Smotryczą; w Kamieńcu jeden żołnierz polski przypadał na 150 bisurmanów, a i tej szczupłej garstki dostarczyli przeważnie ludzie prywatni — senatorowie i biskupi. Był tam i oddział Tatarów, ale tym Polacy zanadto ufali: znaczna ich część przeszła na stronę spółwierców — Turków, a po zdobyciu Kamieńca, tak zwani Lipkowie czyli Tatarzy litewscy pustoszyli Podole, Ukrainy i granice Rzeczypospolitej.

(d. c. n.)

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Niektóre objawy dzisiejszych chorób społecznych: stare dzieci; dziwactwa francuzkie; wojna datkom na piwo; p. Vetillart o mikroskopie; na zakończenie historya o szewcu i uczonym w jednej osobie.

Nie wesoło podobno kończą się dla społeczeństw i ludzkości wszelkie choroby, płynące ze spaczenia pojęć, najsmutniej jednak choroby zapalne, przechodzące w nałóg. Trudno byłoby wyliczyć wszystkie, które przeszła ludzkość od początku bieżącego stulecia. Weźmy jednak najświeższe:

Nie tak dawno był świat niemal cały domem gry hazardowej, następnie hulaką nieopatrznym, potem niesłychanie rozumnym a zimnym skeptykiem, potem i teraz niedowiarkiem, później giełdowiczem, obecnie niby reformatorem i filozofem, stronami materyalistą, indziej znowu pozytywistą, a koniec końców najczęściej na oślep pędzącym młodzieńcem, zawsze młodzieńcem, mimo: że już taki zgrzybiały jak nas uczą geologowie...

Którąś z tych chorób wybraćby trzeba i powiedzieć, że jest najmniej szkodliwą, gdyż świat widocznie nie zadawalnia się zdrowiem, (jeżeli był kiedy zupełnie zdrowym na ciele i umyśle) i pragnie kosztować wszystkiego jak smakuje. Podobnie czynią dzieci, gdy znęcone widokiem barwy różnego kwiecia, uszczkną z każdego i prosto z niem do buzi bez względu na to, że niejedna roślinka może być trucizną. Dzieci odrzecze — kto — nie mają doświadczenia. Przeciwnie i dzieci zdobywają nieraz gorzko ten owoc przypisywany tylko umysłom dojrzałym, ale cóż ztąd, kiedy zapominają o doznanych przykrościach. Czyliż nie powtarza się ta sama historya jota w jotę z całemi społeczeństwami.

Dzieci przynajmniej to tłumaczy, że nie mają historyzofów, badaczy ran społecznych i t. p., którzyby zapisywali ku wiecznej pamięci i przestrodze gorzkie lub kwaskowate dolegliwości dziecinne, ale my, to jest my starzy mamy tylu znakomitych kronikarzy, tyle ksiąg, w których zapisano każdy niemal krok fałszywy, a jednak, jednak...

Ot jesteśmy dziećmi. Kłócimy się jak młode pokolenie, wyzywamy się na pięście, ba, często nawet chwytamy się wzajem za czupryny i odgrywamy rolę nie bardzo zaiste pochlebną, kogutów w walce zacietrzewionych.

Nachodzą nas jednak chwile wielkiego rozumu i wówczas słychać jednogłośne: o! jakież to głupie były czasy! — albo chwile bajrońskiej melancholii z krzykiem z piersi: i cóż ten świat? ot nędzny pyłek w wszechświecie. Ludzie jednak, powtarzający wzmiankowany frazes, nie myślą nigdy, że są maluczcy, broń Boże! Chcą tem dowieść jedynie, że rozum ich wielki i pitrafił sięgnąć poza ten pyłek we wszechświecie. Są to mimo pozornego rozumu ludzie bez wiary. Prostaczkowie bowiem wierzą, iż mimo znikomości świata i spraw ludzkich, człowiek jednak zbliża się do ideału człowieka pewną podniosłością umysłu. I doprawdy zdaje mi się, że prostaczkowie ci, których dawniej było więcej na świecie, mniej popełniali grubych omyłek w życiu i w wychowaniu młodszego pokolenia, jak dzisiejsi wielcy ludzie na mikroskopijnym pyłku wszechświata.

Dziś o wielu rzeczach mamy całe tomy teoryi, a jakoś w wykonaniu koślawią się światonośne teorye i wychodzi dość często rzecz niedołężna. Coś podobnego i w pedagogii.

Z Paryża naprzykład, a zatem z punktu, w którym skupia się nietylko całe życie europejskie, ale i wszystkie rozumy, z tego Paryża słychać dziś utyskiwania ludzi rozumnych na przedwczesną dojrzałość dzieci. Przeciw tej chorobie walczy tam nie sam rozum, dobierają środków rozmaitych, w pierwszym rzędzie satyry, a jednak skutek pracy nad odwróceniem zgubnego prądu nie bardzo świetny.

Paryzkie czasopismo humorystyczne *Charivari* wprowadziło obecnie stałą rubrykę pod tytułem: „Nie masz już dzieci dzisiaj" i zajmuje się gorliwie tą sprawą. Chłoszcze rodziców nierozważnych i *ciotunie* zbyt czułe, które nieposiadają się z radości, gdy mogą dzieciaków zniewolić do naśladownictwa osób starszych w zachowaniu, rozmowie i ruchach. Zdumienie i zachwyt swój każą ciotunie podzielać i ludziom obojętnym. Jakto przykre sprawia wrażenie na ludziach z sercem i rozsądkiem, pojmie każdy, kto kiedykolwiek był zniewolony patrzeć na dzieci wyuczone, jak maryonetki na komendę poruszające się.

Jedna z rycin wzmiankowanego czasopisma przedstawia ojczulka zaślepionego w swym jedynaku. Ojciec proponuje dziecku spędzenie wieczoru w teatrze maryonetek, a siedmioletni odrostek odpowiada z niesmaczną powagą: Nie pójdę, papo, gdyż nie bawią mię takie dzieciństwa, ale jeżeli, tobie sprawia to rozrywkę, to nie ociągaj się i idź, ja sobie tymczasem wypalę papierosa.

Nie przydałożby się takiemu synaczkowi lekarstwo, o którem mówi Duch święty rodzicom? Kogóż zresztą cieszyć może takie cieplarniane wychowanie dzieci, taki rozbój, rzec można, popełniany na młodych umysłach, który obdziera je z naiwności, najpiękniejszego kwiatu wieku dziecięcego.

O ileż zgubniejszą jeszcze jest hodowla dziesięcioletnich artystów i artystek. Choroba ta podobno i u nas nie rzadka. W skutkach cóż daje podobne wychowanie? Roz kapryszone panienki, które sztuczkami, nie sztuką najczęściej, chcą wprawiać świat w zdumienie. A ileż to następnie gniewów i uraz do przyjaciół i znajomych, jeżeli poważyli się wyrazić wątpliwość co do jeniuszu najdroższej córeczki (laleczki), albo najdoskonalszego jedynaka (próżniaka).

Powiada jeden z korespondentów paryzkich do belgijskich czasopism, że nigdzie nie ma tak wiele ośmioletnich i dziesięcioletnich wirtuozów, deklamatorów i małych starców jak w Paryżu: — według nas jednak, jest ich wszędzie aż nazbyt wiele.

Z tej manii publiczności paryzkiej, uganiającej się za dziwactwami, umiał skorzystać niejaki p. Franconi, dyrektor cyrku zimowego, i wpadł na pomysł przedstawień mimicznych, wykonywanych przez dzieci. Sprawił niezwykle kosztowne dekoracye i stroje i przedstawiać każe wytresowanej dziatwie życie paryzkie *en miniature*. Scena przedstawiana przez sześcioletnie i co najstarsze jedenastoletnie dzieci odbywa się zwykle niby w lasku bulońskim. Dekoracye malowane są wiernie aż niemal do złudzenia, znajduje się nawet w środku sceny miniaturowe jeziorko, z takimże mostkiem. W stosunku do drzew, jeziora i mostu, znajdują się odpowiednie lilipucie ławeczki, groty i altanki. Treścią pantominy są napady, rendevouz, pojedynki i t. p. Sceny wcale nie budujące dla pokolenia młodego. W drugiej odsłonie pojawia się często wesele mieszczańskie, które jak zwykle zdąża na ucztę weselną do restauracyi znanego p. Gillé. Panna młoda nie większa od lalki olbrzymiej, w białej sukni z ogonem etc. Skoro przeszło wesele, pojawiają się ekwipaże eleganckie i wehikuły najrozmaitsze, wszystkie w maleńkich rozmiarach, naśladowane z wiernością i przepychem. Takież maleńkie kuce ciągną tę chmarę pojazdów z dziećmi strojnemi jak damy, kawalerowie, szulery, wojskowi, słowem, jak cały świat paryzki, który wylega podczas wyścigów. Jedynie na te powozy i kucyki wydać miał Franconi 40,000 franków. Trzecia odsłona odkrywa w miniaturze bal w Mabille.

I tutaj chór muzykantów, drzewa, gazony, kwiaty również doskonale naśladowane. Za takie to przedstawienia zbiera przedsiębiorca miliony, a starzy ludzie radują się zepsuciem dzieci i własną... nierozwagą.

Już to ów świat zwany „wielkim" strasznie bywa niekiedy maluczkim, a zawsze jeźli mu brak rzetelnego zajęcia, wynajdzie jakąś drobnostkę, nad którą dopóty pracuje, dopóki jej nie zaczną naśladować inni. Smutno tylko, że ci inni tak skorzy do powtarzania rzeczy na seryo, które gdzieindziej robiono z próżniactwa. W tej chwili radykałów paryzkich opanowała znowu inna mania. Oto wypowiedzieli wojnę zwyczajowi dawania „na piwo." Mają po części słuszność, posłuchajmy jednak, jak argumentują przeciw tej pladze. Sprzeczne to jest, powiadają, — z równością (jako ludzie stronnictwa skrajnego zaczynają oczywiście od równości) i jest ubliżeniem obyczajowi demokratycznemu. Trynkgeld to gorszy jak jałmużna, gdyż to jałmużna wymuszona, a wszelka nagroda bez pracy zdobyta jest poniżającą. Zuboża dającego a nie zbogaci nigdy biorącego. Przyzwyczaja człowieka do liczenia więcej na hojność i wspaniałomyślność innych, do liczenia na szczęście i zdobycz bez mozołów, niż na własną szlachetną pracę. Po wielu szumnych jeszcze tyradach, kończy organ radykałów w te słowa: Zwyczaj ten musi być wykorzeniony z naszych obyczajów, inaczej bowiem staniemy się wkrótce narodem bezwstydnych żebraków i dobrodusznych dobroczyńców." — Przestrogę tę głównie rzucono z powodu zbliżającej się paryzkiej wystawy światowej, pytanie tylko, czy będzie skuteczną. Nałogi i choroby nie usuwają się tak prędko choćby najtrafniejszemi argumentami.

(d. c. n.)

Korespondencya z Paryża.

O ubiorach.

Pobyt dziesięciodniowy pań Kuhnke w Paryżu, dał nam sposobność przypatrzenia się tegorocznym modom, których trudno jeszcze szukać po ulicach i przechadzkach paryzkich, z powodu chłodnej i dżdżystej pory. To wszystko cośmy widzieli opiszemy chętnie czytelniczkom naszym: zaczynamy przegląd od kapeluszy.

Ogólną cechę kapeluszy tegorocznych stanowi średnia ich wysokość, nie tak przesadzona jak w roku zeszłym. Najwięcej przyjęte tak zwane kapotki, z rondkiem płasko przystającem do czoła. Wszystkie kwiaty, pióra i kokardy pomieszczone w górze nad rondem; pod niem zaś idzie tylko nagarnirowana blondynka, biała lub w bladych odcieniach, stosownych do koloru wstążek. W doborze kwiatów wielka rozmaitość, najmodniejsze w ogóle kwiatki polne i leśne, pomieszane z fantastycznemi liśćmi i owocami. Co do kolorów panujących, widzimy w nich dwie ostateczności: kolor blady lipowy (tilleul), przyjęty jeszcze powszechnie; mieszają go zwykle z mirtowym, w słabszych i mocniejszych odcieniach; obok tego ukazały się jaskrawe kolory, jak *pomarańczowy* (mandarine), *wulkaniczny, złoty zaśniedziały* (viel or) i t. p. Te ostatnie przypadają szczególniej brunetkom, blade barwy właściwsze dla blondynek.

Po tych ogólnych uwagach przystąpmy do szczegółów. Oto szereg wiosennych kapeluszy, zakupionych na model, przez magazyn pań Kuhnke.

Najstrojniejszy ze wszystkich od pani Pariset, słomkowy brukselski, w kolorze naturalnym, rondko ma dosyć szerokie, spadające na czoło. Z wierzchu nagarnirowana koronka w kolorze złotym (viel or) i kokardy z wstążki atłasowej, w dwóch odcieniach tegoż koloru. Na głowie upięty bukiet z rezedy i wolego oka, pomieszany z liśćmi paproci i polną makówką. Od karczka spadają wielkie pukle z końcami, które można przewiązać pod brodą albo pod warkoczem.

Drugi kapelusz równie strojny od pani Raymond-Beauvols, ma z boku kokardy z wstążki atłasowej, w kolorach lipowym i myrtowym. Przez środek główki spada na tył długi *traine* z orzechów laskowych i liści wszelkiego rodzaju, w odcieniach odpowiednich do wstążek. Szarfy lipowe służą do wiązania pod brodą. Nad czołem idzie garnirunek z koronki koloru lipowego.

Trzeci czarny koronkowy: główka cała nagarnirowana koronką i dżetami; brzeg ronda zakończony frendzelką dżetową; podgarnirowanie nad czołem z białej illuzyi. Nad rondem wpięty bukiecik z laku, otoczony namarszczoną suto koronką. Od tyłu spada wielka kokarda z atłasowej wstążki czarnej, i długie końce do wiązania.

Czwarta kapotka ze słomy grubo plecionej w kratę, w kolorach naturalnym i ciemno-brązowym. W koło nad rondem skręcona gaza brązowa, z tyłu zostawiony od niej długi koniec. Na głowie upięty z boku węzeł z takiejże gazy, ozdobiony klamrą złotą.

Piąta kapotka ze słomy ryżowej uplecionej klarowno; rodzaj ten zupełnie nowy, zowie się słomianą koronką (paille dentelle). W koło główki przeciągnięta gaza algierska w paski poprzeczne, pąsowe na tle słomkowym, ujęta z boku klamrą złotą. Od tyłu na karczek spadają dwa strusie piórka w kolorze naturalnym.

Szósta kapotka słomkowa koloru ciemno-oliwkowego. Główka otoczona wstążką atłasową w trzech odcieniach, od blado-lipowego do myrtowego; z boku wielka kokarda płaska z takichże wstążek. Nad rondem wpięte dwa pióra do cieniu w odpowiednich kolorach. Na tył głowy spada bukiet z liści i kwiatów leśnych, oraz długie pukle i szarfy. Pod rondkiem nagarnirowana gaza w kolorze lipowym.

Siódmy kapelusik biały słomkowy, ma główkę wgiętą przez środek. na tem wgięciu upięta kokarda koloru wulkanicznego, z pod tej wychodzą długie szarfy do wiązania pod brodę lub w tyle głowy. Nad rondkiem szeroka kokarda alzacka, a w pośrodku bukiecik róż odpowiedniego koloru: na karczek spadają dwa piórka nieco bledsze.

Ósmy kapelusik okrągły ze słomy czarnej, z główką śpiczastą i rondkiem odwiniętem. W koło główki idzie gaza algierska pomieszana z czarną hiszpańską koronką. Od karczka spuszczone koronkowe barby, które można przewiązać z przodu. Wielki bukiet z róż, z liśćmi szaremi, upięty w tyle główki, pięknie dopełnia ubrania.

Dziewiąty toczek słomkowy, ma na główce puff z materyi koloru lipowego, w koło idzie girlanda z rozmaitych liści do cieniu. Pod rondkiem garnirunek z materyi; długie końce z wstążki lipowej wiążą się pod warkoczem.

Oprócz tych ubranych kapeluszy, panie Kuhnke zabrały z sobą wielki zapas słomkowych, w rozmaitych fasonach—stosownych do każdego wieku. Widzieliśmy też ogromny dobór wstążek, kwiatów, gazy algierskiej, jak niemniej kolorowych blondyn. Do kapelusików przybranych gazą algierską, zalecamy podobnež krawaty, w drobne paski poprzeczne. Jest to pierwsza nowość tegoroczna.

Z pomiędzy czepeczków zwróciły uwagę naszą bardzo ładne negliżyki, w rodzaju fanszoników, białe muślinowe, ogarnirowane koronką *torchon*, przybrane błękitnemi lub pomarańczowemi wstążkami.

Koronka *torchon*, przerabiana różnemi kolorami, używana bardzo w tym roku, do ubrania czepeczków a nawet sukien letnich.

(d. n.)

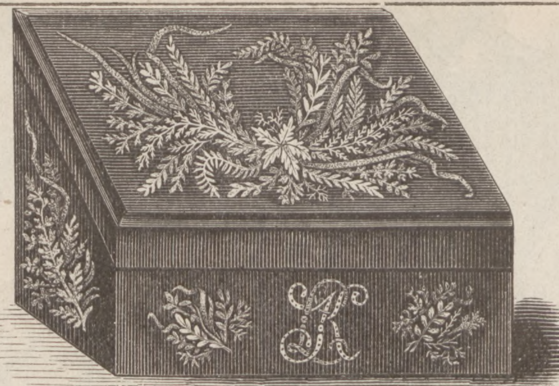
Nowe wydawnictwa.

Rocznik literacki warszawski, rok V-ty, poświęcony literaturze, oświacie, bibliografii i księgarstwu, świeżo wyszedł z druku i zawiera: Pogląd ogólny na ruch umysłowy, życiorysy i nekrologią, towarzystwa naukowe, uniwersytety i akademie, szkoły średnie i elementarne, biblioteki, muzea, czytelnie, gabinety i archiwa, przegląd bibliograficzny i **katalog** wszystkich gałęzi piśmiennictwa, spisy wszystkich artykułów ważniejszych czasopism, życiorysy zasłużujących księgarzy i wykazy księgarń, przytem 2 portrety.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 31 Марта (12 Апрѣля) 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

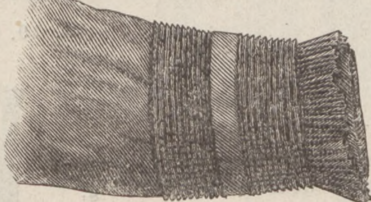
Dodatek.



N. 1. Kasetka z przyborami do pisania.



N. 6. Kołnierzyk grenadynowy do żałoby. Patrz ryc. 7.



N. 5. Rękaw do sukni ryc. 4.



N. 7. Mankiet do ryc. 6.

Opis do N. 15.

(Dokończenie).

N. 15. Majtki dla niedorosłej panienki. Krój N. XVIII, Fig 53.

Majtki wszyte w pasek 3 ½ cent. szeroki, z tyłu na tasiemkę przeciągany, garnirunek stanowi pasek półbatystowy 2 cent. szeroki, w drobne zakładki zaszyty i marszczona falbanka 7 cent. szeroka, ozdobiona haftem lub oszyta koronką.

N. 16. Nocny kaftanik dla panienki lat 11—13. Krój N. XVI, Fig. 45—48.

Krając przody trzeba dodać materyału na zakładki, a listwę z przodu 3 cent. szeroką, przestębnować na wierzchu z osobnego materyału. Garnirunek stanowi falbanka 2—3 cent. szeroka, oszyta wąziutką koronką *Trimming* albo szydełkową.



N. 2. Suknia żałobna z vêtement. Patrz ryc 3. Krój vêtement na arkuszu N. XXII, Fig. 61.

N. 17. Penioar dla niedorosłej panienki. Krój N. XVII, Fig. 49—52-a.

Forma penioaru tem się odróżnia że rękawy zarazem ramiączka stanowią i aż do wykroju szyi są wszywane. Od *a* — *b* zeszywa się plecy z przodami, od *c*— *d* i od *e* — *f* zeszywa się części rękawa z sobą a od *c* — *g* i od *h* — *e* wszywa się rękaw pomiędzy przód i plecy. Na obrąb z przodu 3 ½ cent. szeroki dodaje się materyału, a do przyozdobienia służy wstawka i koronka szydełkowa z tasiemeczką mignardisse albo torsadką robiona, których różne próbki dziś załączamy.



N. 8. Krepowy kapelusz do żałoby.

N. 18—19 i 46. Koszula dzienna z haftem krzyżowym i długim ściegiem.

Próbka na ścieg długi czyli przewłóczony ryc. 46.



N. 3. Ubranie żałobne. Patrz ryc. 2. Krój vêtement na arkuszu N. XXII, Fig. 61.

Kolorowe hafty używane do ręczników i bielizny stołowej, zaczynają upowszechniać się i do koszul. Ryc. 46 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę deseniu, który zdobił model ryc. 18, a wsadzona igła wskazuje sposób roboty, wykonanej bawełną ponsową. Na pasku do wykroju i rękawach odrabia się tylko środkową część deseniu. Koroneczka niciana warsztacikowa albo na śpilkach robiona, obwodzona jest bawełną ponsową. Ryc. 19 przedstawia próbkę roboty krzyżowej na podłożonej kanwie, robionej dwoma kolorami bawełny, służyć także mogącej do ozdobienia koszuli. Wiele innych odpowiednich deseni podaliśmy w poprzedzających numerach Tygodnika Mód, dziś na ryc. 55—56.

N. 20. Koszula dzienna zapinana na ramionach. Krój N. 3 Fig. 5—6.

Model cienkiej płóciennej koszuli, miał od wykroju pachy 90 cent. długości stanu a 98 dolnej szerokości. Pasek 1 ½ cent. szeroki na ramionach zapinany z tyłu 50 z przodu 57 cent. długości mający, dopasowany jest w ząb do wykroju przodu, zaszytego w drobniutkie zakładki. Zbywająca szerokość z tyłu jest drobno zmarszczona. Szlaczek haftem angielskim odrobiony, 2 cent. szeroki, przy wykroju jest między podwójny pasek wstębnowany, a przy rękawach przystębnowany listewką 2 cent. szeroką. Desenie do haftu podajemy na dodatku z krojami.



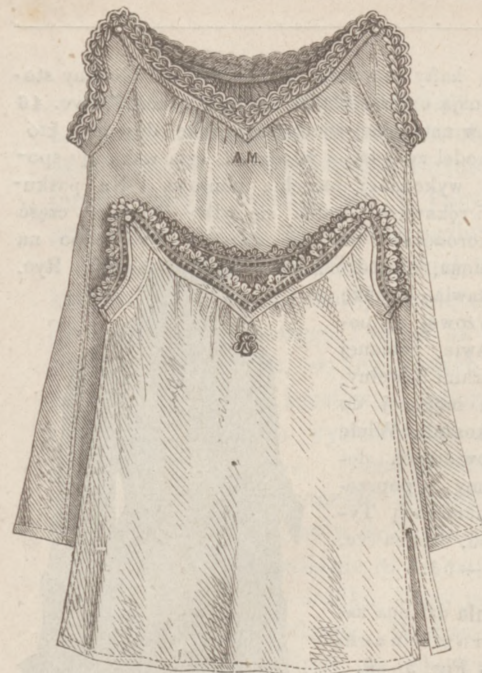
N. 4. Suknia princesse przybrana fałdowaniem, odpowiednia do żałoby.

N. 21. Koszula dzienna z okrągławym karczkiem z przodu. Krój N. I, Fig. 1—2.

Stan do wykroju pachy ma 90 cent. długości a 102 dolnej szerokości, kliniki boczne są 40 cent. długie a 8 ½ szerokie u dołu. Zaokrąglony przód karczka wypada wykroić podług Fig. 2 z perkalu, a na tej podszewce naszywać wstawki koronkowe i haftowane łączone wązkiemi batystowemi listewkami, które są z brzegów stębnowane, a środkiem ozdobione haftowanemi supełkami. Pasek idący w koło wykroju i tworzący ramiączka składa się ze wstawki haftowanej, zakończonej listewkami stębnowanemi; takim paskiem zakończone jest także zaokrąglenie karczka u dołu. Pomiędzy wstawki koronkowe, w miejsce haftowanych, można dawać szersze listewki batystowe ozdobione kwadratami wyszytemi ściegiem krzyżowym, z brzegu przystębnowanem, jak to ma miejsce na ryc. 21.



N. 9. Czepek krepowy.

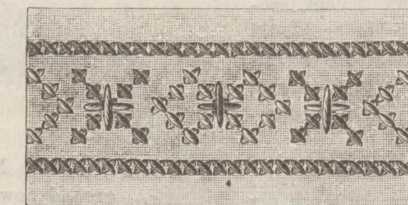


N. 10—11. Koszule dla młodych panienek. Wskazanie kroju i objaśnienie na arkuszu N. XIII, Fig. 29—31.



N. 12. Koszula nocna z ramiączkami dla młodych panienek. Krój w dodatku N. XIX Fig. 54—57.

N. 13. Koszulka dla chłopczyka lat 3, 5.



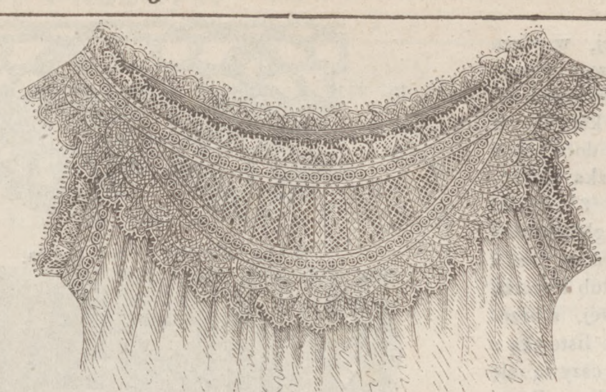
N. 19. Szlaczek wyszyty krzyżykami na płótnie.



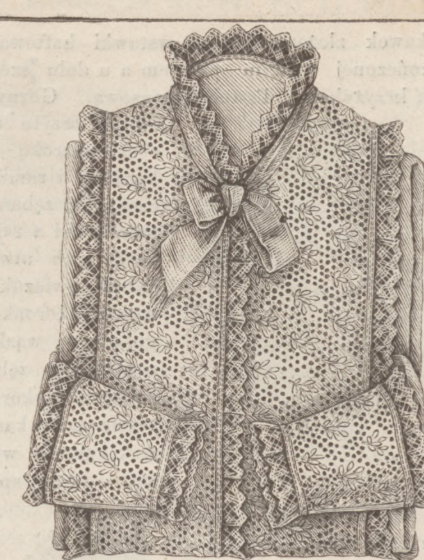
N. 41—42. Fartuszki dla dzieci. Patrz odpowiednie szlaczki ryc. 55—56.



N. 14. Koszula dla chłopca lat 6—8. Krój kołnierza na arkuszu N, XX, Fig. 58—59.



N. 21. Koszula z ozdobnym okrągłym karczkiem. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—2.



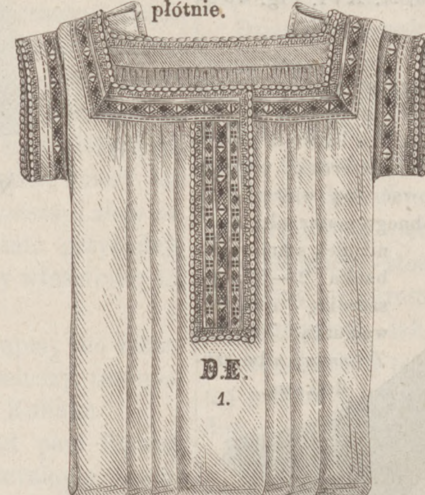
N. 31. Kaftanik albo koszula nocna ozdobiona haftem.



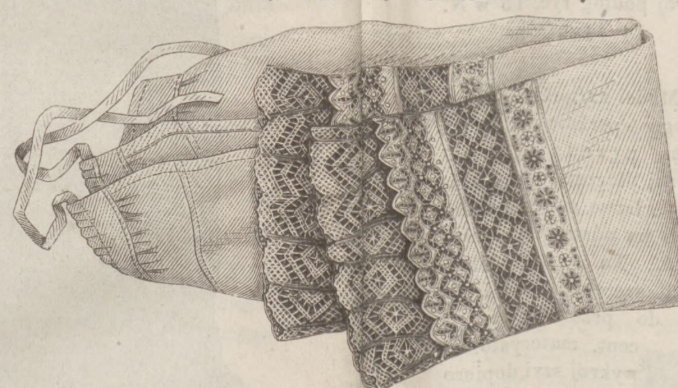
N. 17. Penioar dla młodych panienek. Krój na arkuszu N. XVII, Fig. 49, 52 a.



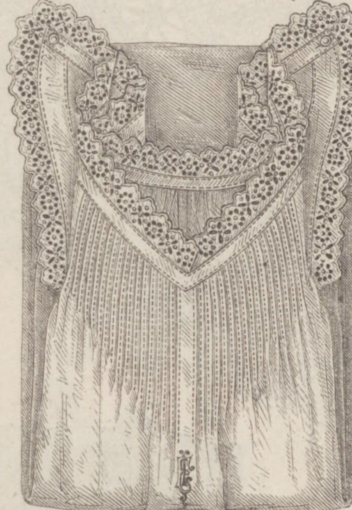
N. 39. Negliżyk z podwójną falbanką.



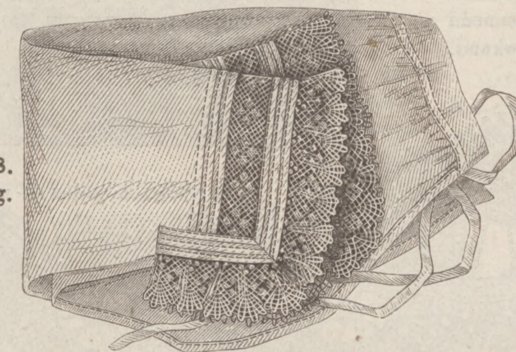
N. 18. Koszula dzienna z haftem. Deseń patrz ryc. 46.



N. 22. Majtki batystowe. Krój na arkuszu N. VI, Fig. 15—16.



N. 20. Koszula dzienna zapięta na ramionach. Krój na arkuszu N. III, Fig. 5—6.



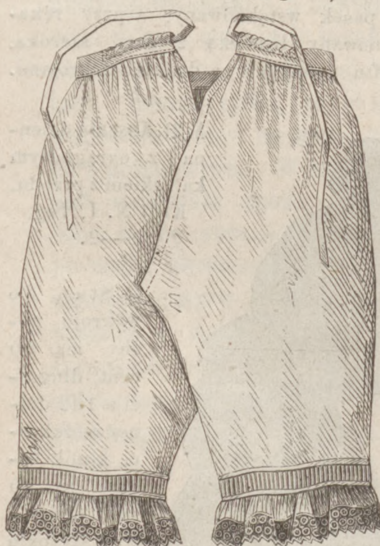
N. 23. Majtki z szyrtyngu. Krój w dodatku N. VI, Fig. 15—16.



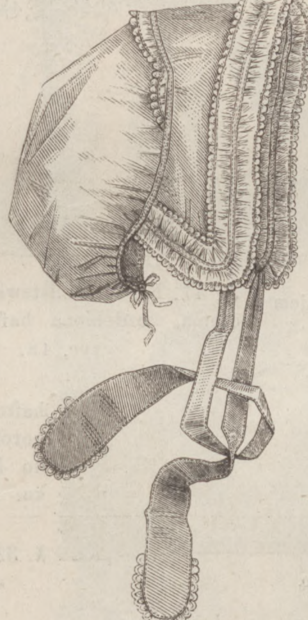
N. 30. Kaftanik nocny z zakładkami.



N. 40. Czepeczek muślinowy z plisowaniem Patrz ryc. 14 w N-rze 14.



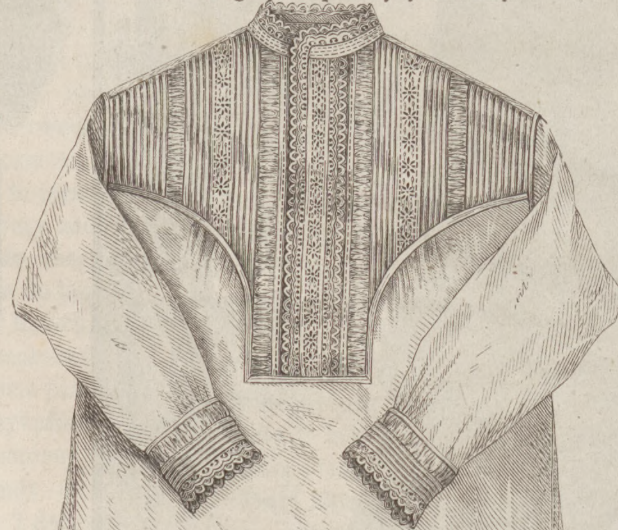
N. 15. Majtki dla młodych panienek. Krój na arkuszu N. XVII.



N. 38. Czepek nocny. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 17—18.



N. 33. Spódniczka flanelowa. Patrz ryc. 32.



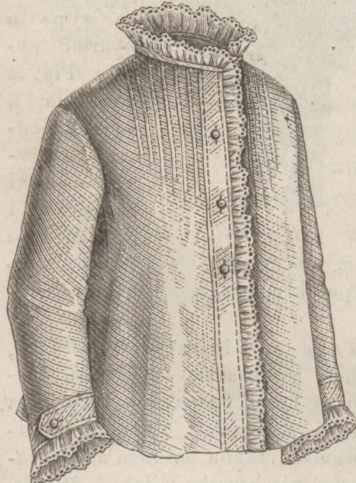
N. 25. Koszula nocna z ozdobnym karczkiem. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 7—10.



N. 37. Tren do przypinania na spódnicy. Patrz ryc. 34—35.



N. 27. Koszula nocna z podłużnym wykrojem. Krój na arkuszu N. V, Fig. 11—14.



N. 16. Kaftanik nocny dla panienki lat 11—13. Krój na arkuszu N. XVI, Fig. 45—48.



N. 26. Oszycie do koszuli ryc. 25.

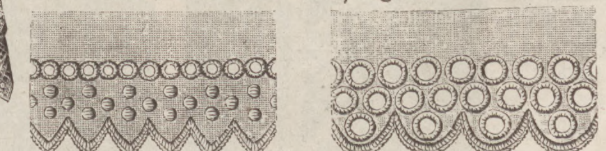
N 44. Spódnica odpowiednia do przypięcia trenu. Patrz ryc. 34—35. Krój na arkuszu N. XI, Fig. 27.



N. 34—35. Spódnica z przypiętym trenem. Patrz ryc. 3—37. Krój spódnicy na arkuszu N. XI, Fig. 27. Krój trenu N. XII, Fig. 28.



N. 36. Spódniczka flanelowa z przypiętą na wierzchu spódniczką pikową. Patrz ryc. 33. Krój szerokiego paska na arkuszu N. IX, Fig. 23—25-a. Krój spódnicy N. X, Fig. 26.

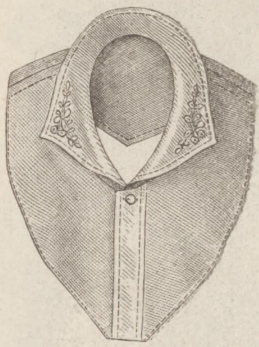


N. 28—29. Ząbki do bielizny.



N. 24. Majtki barchanowe. Krój na arkuszu N. VI, Fig. 15—16.

Rękawek złożony jest ze wstawki haftowanej, w górze zakończonej wązkim paskiem a u dołu szerszym wyszytym krzyżykami, bawełną ponsową. Górny wykrój i rękawki oszyte są koronką 2 cent. szeroką, u dołu przód karczka i ramiączka zakończone są zębami $3^1/_2$ cent. szerokiemi a $2^1/_2$ głębokiemi; każdy ząb utworzony jest z jednej gwiazdki lub kwiatka wstawki koronkowej, z brzegu objęty wązką listewką z supełkami, zęby oszywa się marszczoną koronką. Przyszycie stanu, karczka ze wstawek i pasek w górze, podszyte są od spodu wązkiemi płóciennemi listewkami.



N. 43. Kołnierzyk webowy z haftowanemi rogami.

N. 22. Majtki batystowe. Krój N. VI, Fig. 15—16.

Zbytkowny garnirunek majtek batystowych składa się ze wstawki haftowanej $3^1/_2$ cent. szerokiej, wstawki cieniutkiej nicianej 5 cent.. szlaku haftowanego na batyście 7 cent. szerokiego, podgarnirowanego koronką 8 cent. szeroką. Wszędzie na zeszyciach wstawek dane są listewki stębnowane. Pasek z przodu w ząb zakończony.

N. 23. Majtki perkalowe.

Garnirunek składa się ze wstawki nicianej 4 cent. szerokiej, 3 cent. szerokich pasków zaszytych w zakładki i z koronki 6 cent. szerokiej. Inne stosowne do majtek szlaczki podajemy na ryc. 55—56 i na ryc. 54.

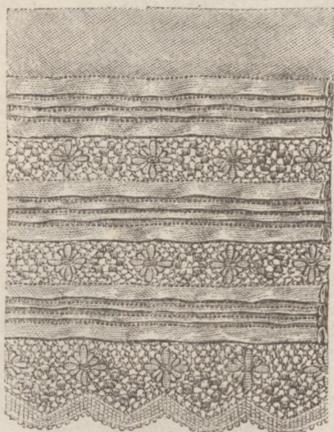


N. 49. Staniczek pod suknie.

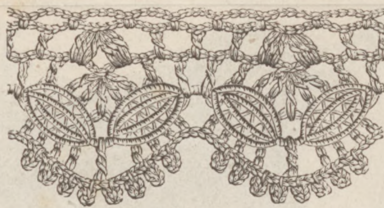
N. 24. Majtki barchanowe, u dołu przymarszczone i wszyte w pasek perkalowy stębnowany, ogarnirowany falbanką haftowaną fabrycznie.

N. 25—26. Koszula nocna z okrągłym wykrojem. Krój N. IV, Fig. 7—10.

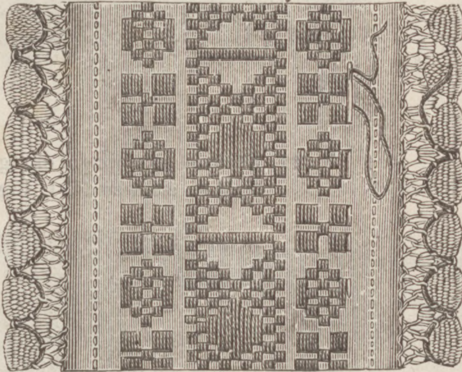
Długość ramion, długość i szerokość cienkiej perkalowej koszuli, obliczona jest na osoby dobrej tuszy i wzrostu. Model miał 200 cent. dolnej szerokości, 144 przedniej a 153 tylnej długości stanu, skośnie ścięty szew pod pachą wynosił 116 cent długości. Karczek z przodu złożony jest z haftowanych wstawek, zakładek i bufek, których układ dokładnie wskazuje ryc. 25. Obrąb zwierzchni wzdłuż przodu zdobi wstawka haftowana z brzegów oszyta szlaczkiem haftu i koronką, na które wzór podajemy na ryc. 26. Wykrój szyi objęty paskiem stębnowanym oszyty szlaczkiem haftu wszywa gładko do pachy, a u dołu przymarszcza i wszywa w mankiet 6 cent. szeroki 26 długi, zeszyty od spodu, złożony z bufki i zakładek a oszyty jak kołnierz.

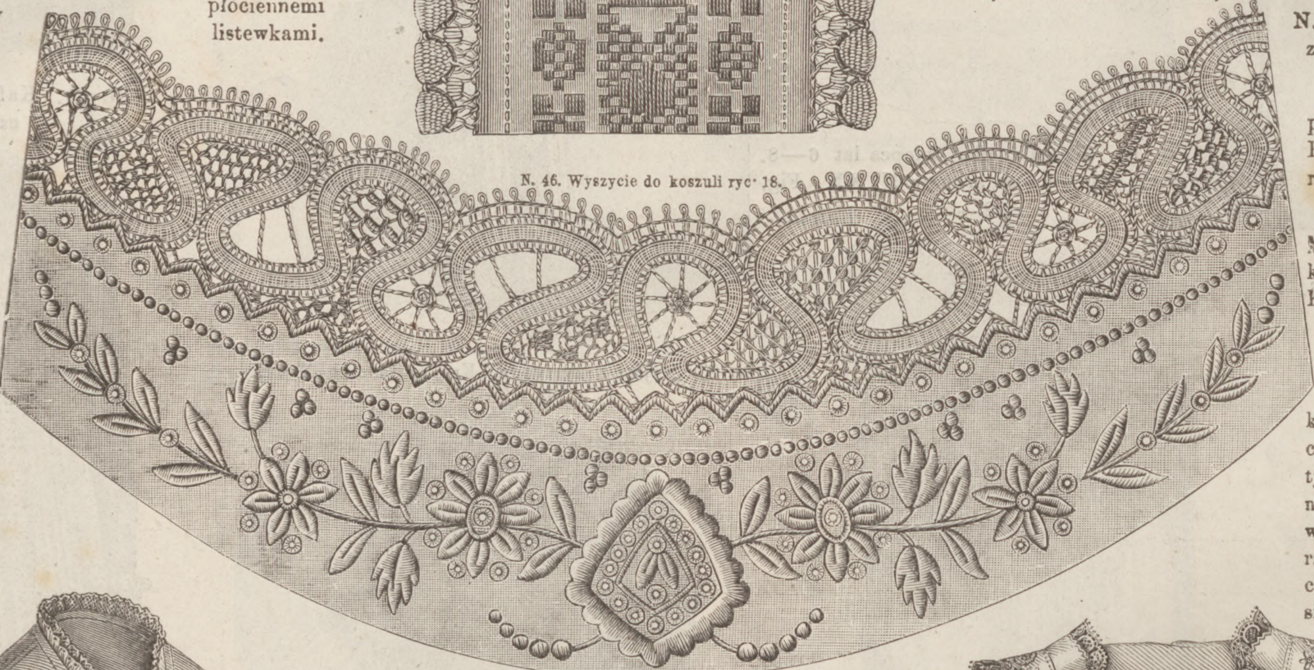


N. 53. Oszycie do bielizny.



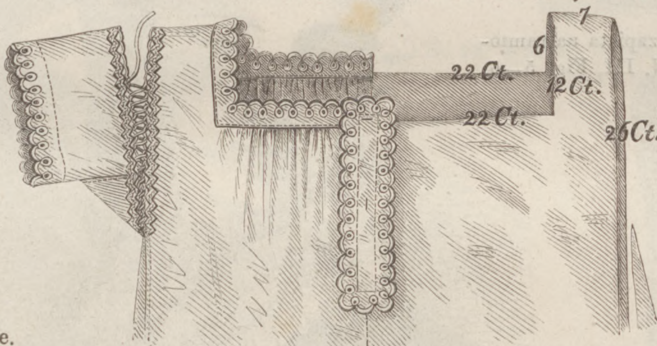
N. 45. Koronka szydełkowa.



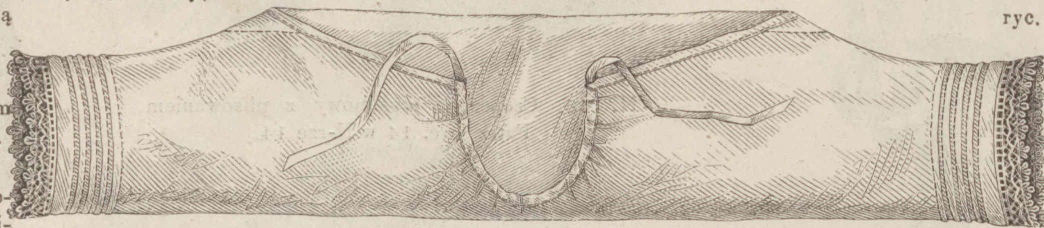


N. 46. Wyszycie do koszuli ryc. 18.

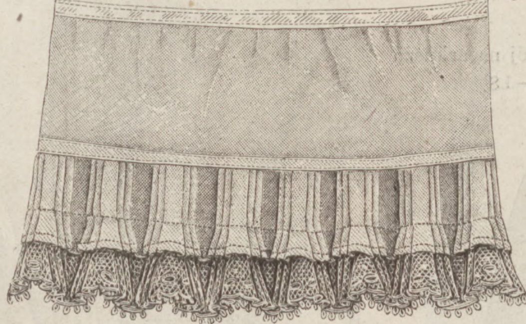
N. 48. Haft i koronka irlandzka do koszuli ryc. 47.



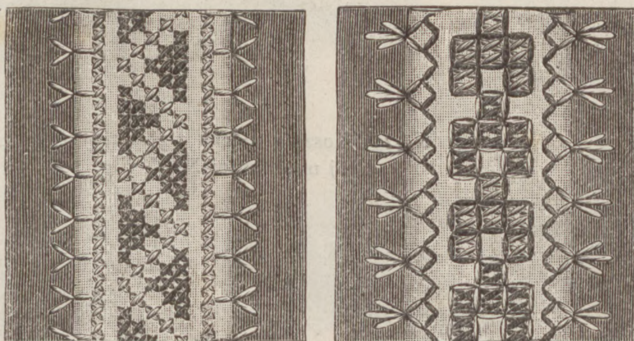
N. 50. Koszula z przysznurowanemi rękawkami, z podaniem miar szerokości.



N. 51. Majtki z jednego prostego bryta. Krój na arkuszu N. XXI, Fig. 60.



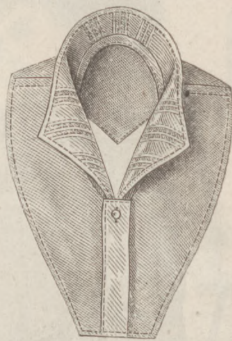
N. 52. Falbana w odstające fałdy (flottaut) do spódnic.



N. 55—56. Szlaczki do fartuszka ryc. 41—42.

N. 27—29. Koszula nocna z podłużnym wykrojem. Szlaczki do haftu na falbance ryc. 28—29. Krój N. V, Fig. 11—14.

Obadwa bryty stanu mają od wykroju pachy 114 cent. długości a 100 —120 dolnej szerokości. Karczek z tyłu kraje się podwójny. Wykrój szyi dopasować podług fig. 11, a drobne zakładki z przodu zastębnować w sposób na ryc. 27 wskazany. W mankiety proste, podwójne, przykrojone podług Fig. 14, wszywa się podług oznaczonych liter rękaw mający rozporek z wierzchu ręki. Falbanka ma 4 cent. szerokości.



N. 45. Kołnierzyk webowy z wszywanym sznurkiem.

N. 30. Kaftanik z zakładkami i falbanką haftowaną. Krój podług ryc. 15 w N. 14 Tygodnika.

Model kaftanika z cienkiego perkalu miał 55 cent. przedniej a 59 tylnej długości, plecy wcinane, łatwo można podług woli na puszczone rozszerzyć. Na 6 zakładek 1 cent. szerokich, dodaje się do przodów po 12 cent. materyału, a wykrój szyi dopiero po zaszyciu zakładek dopasować. Listewki do dziurek i guzików mają 2 cent. szerokości. Wykrój szyi wszyty jest w pasek prosty z tyłu $2^1/_2$, z przodu $1^1/_2$ cent. szeroki; mankiety proste są 7 cent. szerokie a 23 cent. długie.



N. 47. Koszula z listewką do marszczenia, ozdobiona haftem. Patrz ryc. 48.

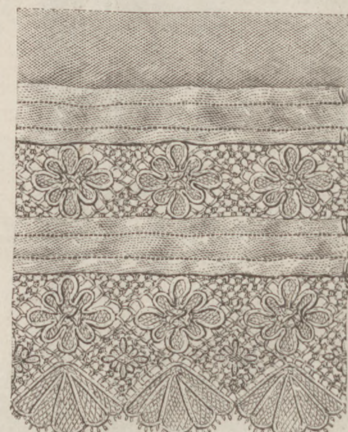
N. 31. Nocna koszula albo nocny kaftanik z haftowanemi przodami.

Suto fabrycznie haftowane przody i mankiety oszyte koronką nicianą, dopasować można do każdej formy koszuli lub kaftanika. Haft kupuje się na łokcie.

N. 32—37. Spódnice i tren przypinany, opisane w artykule o bieliźnie.

N. 38. Czepek nocny z szerokiem czółkiem. Krój N. VII, Fig. 17—18.

Skośnie podług Fig. 17 przykrojone denko, wszywa się do czółka od *e* do *f* gładko, a od dwukropka do *g* przymarszczone i wstębnowane w listewkę przyciąganą na tasiemkę. Do twarzy czółko ogarnirowane jest falbanką $2^1/_2$ do 3 cent. szeroką oszytą koroneczką lub ozdobioną haftem, środkiem przemarszczoną i wąziutkim paskiem przystębnowaną; także listewka przykrywa wszycie denka, na które spada falbaneczka.



N. 54. Oszycie do bielizny.

(dok. nast.)

Dodatek z krojami i deseniami do N. 14 i 15.

N. XIV. Negliż z odznaczonym kaftanikiem, ryc. 23—24 w N. 15.

Fig. Przód z odznaczeniem kaftanika (A, E, F, G)
Fig. 35. Pierwsza część pleców (A, B, C, D, F, X 1 . 1)
Fig. 36. Druga część pleców (B, C, D, E, X 2 . 2 — X 5 . 5)
Fig. 37. Rękaw (G, H, I, K)
Fig. 34-a—37-a. Zmniejszony rysunek negliżu.

N. XV. Suknia skośnie zapinana formą princesse, dla dorastającej panienki, ryc. 25—26 w N. 14.

Miara połowy górnej objętości w gorsie 44, w pasie 30 centymetrów.

Fig. 38. Przód z oznaczeniem skośnego zapięcia punkcikami (L, O P, Q)
Fig. 39. Boczek do przodu (L, M)
Fig. 40. Boczek do pleców (M, N)
Fig. 41. Plecy (N, O, P)
Fig. 42. (Q, R, S, T, * :)
Fig. 43. Połowa mankieta (* , :)
Fig. 44. Połowa kieszeni
Fig 38-a—44-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części sukni.

N. XVI. Nocny kaftanik dla panienki lat 10—13, ryc. 16 w N. 15.

Fig. 45. Przodek (U, V, W, X, Y, .)
Fig. 46. Połowa pleców (U, V, W, X, X)
Fig. 47. Rękaw (Y, Z, * , :)
Fig. 48. Połowa paska do wykroju szyi (+ , .)

N. XVII. Penioar dla niedorosłej panienki, ryc. 17 w N. 15.

Fig. 49. Przodek (a, b, c, g, k, 2 załamania formy.)
Fig. 50. Połowa pleców (a, b, h, i, 1-no załamanie formy.
Fig. 51. Rękaw (c, d, e, f, g, h) 1-no załamanie
Fig. 52. Połowa kołnierza (i, k)
Fig. 49-a—52-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części penioara.

N. XVIII. Majtki dla niedorosłej panienki, ryc. 15 w N. 15.

Fig. 53. Połowa majtek (l, m, 1-no załamanie)

N. XIX. Nocna koszula z karczkiem, dla niedorosłej panienki ryc. 12 w N. 15.

Fig. 54. Połowa przodu i stanu (n, o, p, q, r)
Fig. 55. Połowa karczka (q, r, u)
Fig. 56. Połowa paska do kołnierza (r, s, t, u)
Fig. 57. Ranwers kołnierza (s, t)

N. XX. Kołnierz do koszuli dla chłopczyka lat 8—10, ryc. 14 w N. 15.

Fig. 58. Połowa paska do kołnierza (v, w)
Fig. 59. Połowa kołnierza (v, w)

N. XXI. Majtki damskie krajane w jednej sztuce, ryc. 51 w N. 15

Fig. 60. Wzór kroju.

TYGODNIK MÓD

w Warszawie 1877 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 14 i 15.

N. I. Koszula dzienna z zaokrąglonym karczkiem, ryc. 21 w N. 15.

Fig. 1. Połowa przodu i pleców stanu (A, B, C, D, : , *, . , +)
Fig. 2. Połowa przodu i pleców karczka (B, C, D)

N. II. Koszula dzienna z listewką do nawłóczenia tasiemki, ryc. 47 w N. 15.

Fig. 3. Połowa przodu i pleców stanu (E, F)
Fig. 4. Połowa rękawa (E, F)

N. III. Koszula zapinana na ramionach, ryc. 20 w N. 15.

Fig. 5. Połowa stanu (G, H, *, :)
Fig. 6. Rękaw (G, G)

N. IV. Koszula nocna z okrągłym podkrojem, ryc. 25 w N. 15.

Fig. 7. Połowa przodów i pleców stanu (I, M, N, O, P, Q : , *, +, .
Fig. 8. Karczek z przodu (K, L, M, N, O)
Fig. 9. Połowa karczka do tyłu (K, L, P, Q)
Fig. 10. Połowa rękawa (I, Q, R, S)

N. V. Koszula nocna z podłużnym wykrojem, ryc. 27—28 w N. 15

Fig. 11. Połowa stanu (T, U, V, W, X, +, *, :
Fig. 12. Połowa karczka (U, V, W, *)
Fig. 13. Rękaw (X, Y, Z)
Fig. 14. Połowa mankieta Y, Z)

N. VI. Majtki damskie z paskiem w ząb ściętym, ryc. 22—24 w N. 15.

Fig. 15. Forma majtek (a, b, c, d, , *, 1-no załamania formy)
Fig. 16. Pasek c, d, *)

N. VII. Czepek nocny z szerokim czółkiem, ryc. 38 w N. 15.

Fig. 17. Połowa denka (e, f, g, :)
Fig. 18. Połowa czółka (e, f, g, :)

N. VIII. Kaftanik ranny, ryc. 2 i 15 w N. 15.

Fig. 19. Przodek (h, i, k, l, p, q, X 1 . 1—X 2 . 2)
Fig. 20. Plecy (h, i, k, 1-no założenie formy)
Fig. 21. Rękaw (l, m, n, o)
Fig. 22. Połowa kieszonki (p, q, X 3 . 3)
Fig. 19—21. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy kaftanika.

Kaftanik przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 2 i 15 w N. 14 Tygodnika, może służyć do negliżykowego ubrania, przy białej spódnicy, albo też jako penioar przy czesaniu. Model kaftanika odrobiony był z białego batystu, przybrany kokardami kolorowemi; garnirunek stanowiło plisowanie 8 cent. szerokie, i równie szeroka riusza układana w kontrafałdy, z nagłówkami 2 cent. szerokiemi z brzegów. Pod riuszą, przy stębnowaniu, tło kaftanika jest wycięte i podwrąbione. Forma przodów dla braku miejsca nie mogło być w całości podana, lecz podług miary na ryc. 19-a; łatwo ją od dołu dopełnić. Przed zeszyciem trzeba oznaczone fałdki w przodach zaszyć, ażeby bok zrównać z plecami.

N. IX. Szeroki pas do spódnicy ryc. 32—33 w N. 15.

Fig. 23. Przód (r, s)
Fig. 24. Bok (r, s, t, u)
Fig. 25. Część tylna paska (t, u)
Fig. 23-a do 25-a. Zmniejszony rysunek całego paska.

N. X. Krótka spódniczka pod spód, ryc. 32—33 w N. 15.

Fig. 26. Zmniejszony rysunek i miara spódniczki, *a* pół przodu, *b* klin, *c* połowa bryta tylnego.

N. XI. Długa spódnica, ryc. 36 w N. 15.

Fig. 27. Zmniejszony rysunek brytów spódnicy, z podaniem miary długości i szerokości. — *d* bryt przedni, *e* klin, *f* połowa bryta tylnego, *g* połowa falbany dopełniającej bryt, *h* połowa górnej, na brycie przyszytej falbany.

N. XII. Tren do przypinania do spódnicy, ryc. 34—35 i 37 w N. 15.

Fig. 28. Zmniejszony rysunek wszystkich części trenu. *i* połowa głównej części, *k* połowa dolnej falbany, *l* połowa falbany górnej, na brycie przyszyte, *m* połowa trzeciej falbany przyszytej na brycie trenu w miejscu oznaczonem drugą linijką.

N. XIII. Koszulka dla dziewczynki lat 5—7, ryc. 11 w N. 15.

Fig. 29. Połowa przedniej i tylnej części stanu (v, w, x, z)
Fig. 29-a. Zmniejszony rysunek formy stanu, ze wskazaniem sposobu stosowania formy do większego lub mniejszego wzrostu.
Fig. 30-a. Połowa paska do przodu (x, y)
Fig. 30-b. Połowa paska do pleców (y, z)
Fig. 31. Rękawek (v, w, y)

Podług miary szerokości w piersiach która na formie wynosi 29 1/2 cent.) pasuje się górną część stanu, długość ramiączek i wykrój pachy. Od wykroju pachy przeprowadza się prostą linię oznaczoną N. I, od tej dwie linije pionowe oznacza N. II i III, połowa szerokości między temi linijami wynosić powinna długość podcięcia na rękaw. Linije II z III łączą się liniją horyzontalną IV, pomiędzy liniją I i IV daje się wykrój stanu oznaczony z przodu kolistą, niższą liniją, a do pleców wyższą. Od wykroju pachy do dołu, ścina się stan trochę kliniasto.

Desenie.

Fig. 32. Połowa narożnika do wyszycia sutaszem na torbie do bielizny, ryc. 19 w N. 14.
Fig. 33. Połowa desenia do haftu na narożnik do woreczka na brudną bieliznę, ryc. 21 w N. 14.